ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK V. NR 18/202/

LONDYN, NIEDZIELA 6 MAJA 1951 R.

ZOFIA KOSSAK

W ŚWIĄTYNI CHALDEJSKIEJ *)

CHOĆ w całej Chaldei pieniądze, miary i wagi, opierały się na sześćdziesiątce, używanej przez większość starych i mądrych narodów, gdyż kopa pozwalała się dzielić przez największą ilość liczb, świętą cyfrą, cyfrą bogów i duchów pozostawała siódemka. Siedem władców nieba, siedem władców podziemia, siedem demonów złych, siedem demonów dobrych, siedem planet, siedem dni w tygodniu, każdy stanowiący własność innego boga. W świątyni, do której niewolnicy Tarego, Obed i Chamil z pomocą Sura, a pod okiem Ab-Rama wnieśli posąg Marduka, siedem rzędów kolumn połyskiwało w mroku, siedem bocznych kaplic otaczało główną salę, siedem ołtarzy czekało na ofiary, siedem stopni wiodło przed ołtarz główny.

— Zapięcie naszyjnika stopiłem — objaśniał Tare syna przed odejściem. Ręce ludzkie go nie zdejmą, oczy niczyje skazy nie zobaczą. Kapłanom powiesz: Tare, syn Nachora, miał sen. Marduk Bel stanął przed nim we śnie i rzekł: Daj mi naszyjnik, który otrzymałeś z Egiptu! Tare, syn Nachora, przebudziwszy się, wyjął naszyjnik ze skrzyni i zawiesił go na szyi boga. Nie dotykajcie tej ozdoby, albowiem za wolą Marduka została tam umieszczona!

— Nie potrafię tego powiedzieć, ojcze. Wybacz mojemu nieuctwu. Gdy zapytają, dlaczego Tare tak uczynił, odpowiem, że z pobożności...

— Słuchaj moich słów, a nie swojej głowy. Znam kapłanów, ty ich nie znasz. Powiesz, com rzekł. Gdyby zaś zdarzyło się, że zdjęliby naszyjnik i ujrzeliby rysę — rzekniesz im: złoto zatrze ten ślad. I dasz im sztukę złota.

Ab-Ram opierał się jeszcze, lecz wobec woli starego, ustąpił. Zresztą, kapłani wielce zajęci nie tracili czasu na pytania. Jeden z młodszych zawołał tylko: o, jak pięknie Tare, syn Nachora, przyozdobił naszego boga, wielkiego Marduka! Inni powtórzyli zgodnie: Chwała Taremu, synowi Nachora! — Ab-Ram zadowolony zbierał się do wyjścia i skrzyknął niewolników. Chamil i Sur pojawili się natychmiast. Obed pomagał jeszcze przy ustawianiu posągu. Ab-Ram stanął pod ścianą i czekał. Nad jego głową w siedmiu rzędach wisiały wielkie kamienne tablice, zawierające znaczenie snów i przez cały dzień tłoczyły się tutaj tłumy ludzi zaniepokojonych snem ostatniej nocy. Kapłani trzeciego stopnia słuchali ich opowieści, pobierali dwa sykle opłaty, po czym szukali właściwego znaczenia na odpowiedniej tablicy. Sny dzielono na szczęśliwe i nieszczęśliwe, obojętne i złowróżbne, dotyczące jedynie losów śpiącego i jego rodziny, lub posiadające znaczenie dla całego kraju. Do ostatnich należały sny, w których występował pies, zwierzę pozostające w powszechnej pogardzie.

...jeżeli śnisz — głosiła tablica — że czarny pies wszedł do domu i położył się na łożu, — na kraj spadną straszne klęski...

...jeżeli śnisz, że żółty pies wszedł na królewski dwór, — nieprzyjaciel zagarnie państwo a miasto będzie spalone...

Od snów niezwykłych, nieprzewidzianych wyobraźnią kapłańską, zatem nieumieszczonych na tablicy, pobierano opłatę dwakroć wyższą i odsyłano klienta do kapłana wyższego rzędu, umiejącego wyłożyć najdziwniejszy zwid.

Sny, wróżby zajmowały wiele miejsca w życiu mieszkańców grodu. Wszelkie zjawisko, od największych do najdrobniejszych, mogło być podstawą wróżby, zarówno ranne kichnięcie, jak deszcz spadających gwiazd. Najbardziej szanowaną grupę kapłanów stanowili baru czyli jasnowidze, znający przeszłość i przyszłość. Rozwijana w nich od dziecka umiejętność podwójnego wzroku, przechodziła często z ojca na syna. Baru nie brali udziału w krwawych ofiarach, cenili wysoko swą godność i rzadko uciekali się do sztuczek właściwych zwykłym wieszczom, jak brzuchomówstwo albo gra zwierciadeł.

Ab-Ram wierzył mocno w sny, jak każdy syn owych czasów, nie umiejąc jednak czytać, wodził obojętnym wzrokiem po tablicach. Kroki rozległy się za nim. Nie był to Obed, lecz młody kapłan w błękitnej szacie baru. Podszedł do czekającego poufale.

— Bądź pozdrowiony Ab-Ramie, synu Tarego. Ojciec twój Tare, syn Nachora, wyrzeźbił piękny posąg... Sługa twój pragnąłby wiedzieć, czemu go tak przyozdobił?

Ab-Ram powinien był odpowiedzieć: Tare, syn Nachora, miał sen... Lecz wzrok kapłana był wyraźnie drwiący, postanowił nic nie ukrywać:

— Na szyi posągu powstała skaza. Tare, syn Nachora, pragnął przebłagać boga tym cennym darem...

— Tare, syn Nachora, zbluźnił! Uszkodzony posąg nie śmie stać w świątyni!

Ab-Ram zdążył ochłonąć z wrażenia.

— Ojciec mój, Tare, syn Nachora, zapewniał mnie, że od potarcia złotem skaza zniknie bez śladu. Nie starczyło mu czasu, by sam to uczynił.

Wyjął z woreczka z żalem piękną złotą monetę i wręczył kapłanowi.

— Obaczę, — rzekł tenże — czy tak jest, jak mówisz...

Odszedł. W międzyczasie Obed pojawił się cicho jak zwykle i stanął w postawie wyczekującej. Ab-Ram kipiał wewnętrznie z oburzenia na bezczelnego kapłana.

— Jak zowią tego baru? — zapytał Obeda.

— Sep-Sin — odparł niewolnik.

— Skąd wiesz? — badał Ab-Ram podejrzliwie.

— Przychodzi nieraz do mojego pana.

Ab-Ram uspokojony umilkł. Czekali dalej. Po chwili Sep-Sin wrócił mrużąc kpiąco oczy.

— Tare, syn Nachora, miał słuszność — oznajmił. — Od złota skaza znika. Ale to co dałeś nie wystarcza. Daj jeszcze jedną monetę...

— Bogowie! Użyczcie mojej duszy cierpliwości! — pomyślał Ab-Ram. Bez słowa wyjął złoty pieniądz i wręczył kapłanowi, który z uśmiechem schował go do worka wiszącego u pasa.

— Synu Tarego — zapytał nagle — zali wiesz, który z bogów jest największy?

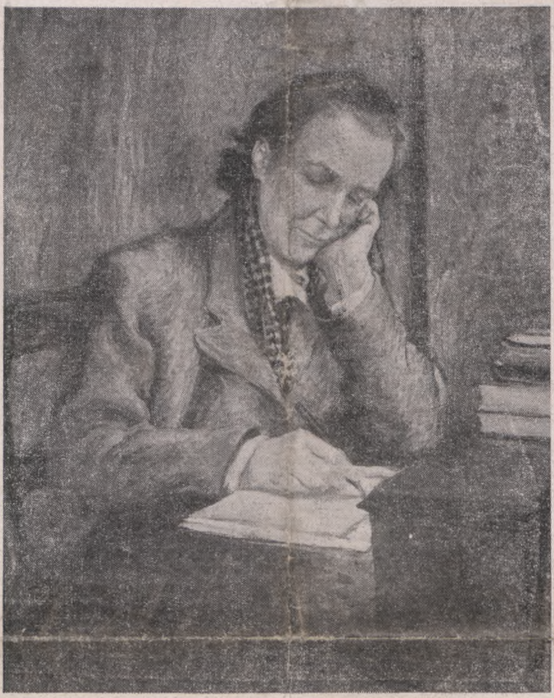
Ab-Ram zesztywniał.

— Marduk, syn boga Ea i bogini Damkiny, jest największy.

Sep-Sin uderzył go po ramieniu.

— To dobrze, że wiesz.

...Obed szpieg... pomyślał Ab-Ram a głośno dodał:



Mal. A. Bunsch (1945)

ZOFIA KOSSAK

— Czy mogę odejść wraz z niewolnikami, by wrócić do mego ojca a potem do mego stada?

— Nie możesz odejść teraz, gdyż pochód ofiarny już wkracza, a w czasie ofiary nie wolno wyjść ze świątyni. Wyjdziesz później.

Odwrócił się i stanął w szeregu swoich towarzyszy. W ciągu ostatnich chwil bowiem wnętrze gmachu wypełniło się tłumem kapłanów. W głębi, przed ołtarzem, stał arcykapłan w błękitnej i zielonej szacie, w wysokiej tiarze na siwej głowie, z racjonałem pokrytym klejnotami na piersiach i nożem w ręku. Racjonał i tiara wyróżniały go spomiędzy jednako odzianych kapłanów pierwszego i drugiego stopnia. Byli to issakku składający ofiary z wina i mleka, obkadzający bogów i namaszczający ich wolnością; sangu kierujący ceremoniałem; kipu i satami zawiadujący skarbem świątyni; pasisu prowadzący chóry, muzykę na harfach i fletniach. Drugi stopień przedstawiali ofiarnicy zabijający bydło z wprawą rzeźników ich pomocnicy, augurzy, wieszczowie, nawiewacze snów, odżegnywacze uroków, na koniec kapłani trzeciego stopnia przygotowujący drzewo na ołtarz, usuwający krew i nieczystości, a w okresach obrzędowej rui oddający swe siły męskie na cześć bogini. Razem około tysiąca ludzi, którzy wraz z rodzinami, niewolnikami i rodzinami niewolników żyli z ofiar składanych bogom. Obecnie ustawieni w dwa rzędy wedle godności, nieruchomi i dostojni, patrzyli na kupca Nanna-tum prowadzącego syna na ofiarę. Ojciec, mężczyzna w pełni lat, wspaniale odziany, otwierał pochód poprzedzając dziecię: kilkuletniego chłopca w wieńcu kwiatów na głowie, w białej, długiej, otwartej od góry do dołu, szatce. Malec, odurzony mocnym winem z korzeniami, jakim pojono ofiary, by im odebrać świadomość, rozglądał się wokoło półprzytomnie wielkimi czarnymi oczami. Tym samym winem zamroczona matka szła tuż za nim. Pierś jej połyskiwała od klejnotów, długie kolczyki zwisały z uszu, nezem, czyli duży złoty pierścień przetykający nozdrza, leżał na wargach. Kroczyła jak we śnie, wpatrzona w dziecko. Za tym trojgiem postępowała rodzina kupca, za rodziną słudzy i niewolnicy obładowani darami. Wszyscy zachowywali milczenie skupiając uwagę, by się nie potknąć, nie chrząknąć, a nawet nie odetchnąć głośniej, najmniejsze bowiem uchybienie ceremoniałowi niweczyło skuteczność ofiary. Posuwający się zwolna orszak już wszedł na stopnie ołtarza, stanął przed arcykapłanem. Dwóch issakku zdjęło z chłopca szatkę zostawiając tylko wieniec na lśniących puklach włosów. Stał zdziwiony, śliczny, nagi. Ojciec jego nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, pchnął lekko syna ku arcykapłanowi. Ten położył starą kościstą dłoń na szyjce dziecka, podniesiony nóż świsnął w powietrzu. Jakby orzeźwiony dotknięciem, mały krzyknął przeraźliwie. Odpowiedział mu krzyk drugi. Obudzona z odrętwienia matka zawyła dziko jak zwierzę. Oba głosy zamarły, ledwo się zerwały. arcykapłan z zadziwiającą siłą zdusił gardło chłopca, brat kupca Nanna-tum ogłuszył bratową silnym ciosem pięści, a słudzy wywlekli ją na boczny dziedziniec. Ojciec stał bez ruchu, wciąż z tym samym obojętnym wyrazem, lecz pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Wielki nóż kamienny opadł, tnąc głęboko, szeroko pierś dziecka. Krew buchnęła. Rozległ się pisk żałosny, niby ptaka. Arcykapłan powalił na kamienny stół drgające ciało, rozszerzył ranę, bacząc by krew, ten ulubiony pokarm bogów, esencja życia, oblał obficie ołtarz, spływając aż na boki. Zanurzył ręce w otwartą pierś, wyrwał z niej serduszko, maleńką drgającą wątrobę, splot drobnych parujących wnętrzności i wpił się w nie wzrokiem nie zapowiadającym nic dobrego. Snać wróżba była niepomyślna. Kapłani sangu podeszli do martwego już ciałka, jeden z płonącą pochodnią, drugi z żywicą, którą posypał zwłoki, trzeci ze smolnymi szczapami. Buchnął płomień. W zetknięciu z ogniem krew syczała, żywica płonęła trzeszcząc, swąd palonego mięsa wypełnił powietrze. Chór kapłanów podjął pieśń ku czci wielkiego Marduka:

Kto jest najwyższy na niebie?
Marduk jest najwyższy na niebie.
Kto jest najwyższy na ziemi?
Marduk jest najwyższy na ziemi.

Ab-Ram czekał niecierpliwie końca obrzędu, by wyjść. Widok, jakiego był świadkiem, nie robił na nim większego wrażenia, niż zarzynanie jagnięcia. Odkąd przed tysiącami lat bóg El ofiarował bogom syna swojego Jeduda, by uchronić kraj od klęski, ofiarowywanie pierworodnych było uważane za rzecz słuszną, owocną i godną naśladownictwa.

Nie wiodło się Ab-Ramowi. Jeszcze kupiec Nanna-tum nie odszedł od ołtarza, na którym dopalały się zwłoki jego syna, gdy w otwartych szeroko wrotach pojawił się orszak następny, wiodący tym razem trzy byki. Bydło ustrojone było kwiatami, na szyjach wisiały kołatki z pozłacanego brązu, przedstawiające lwa pożerającego gazelę. Ciżba ludzi na dziedzińcu pozwalała domyślać się dalszych ofiar. Czyż wypadnie czekać tutaj do wieczora?!

Nieoczekiwanie nadszedł Sep-Sin. Uśmiechał się, niezrażony brakiem przychylności w spojrzeniu pasterza.

— Znam twoje myśli — rzekł wesoło. — Sądzisz, że zabiorę ci trzecią sztukę złota? Mylisz się. Przyszedłem, by cię uwolnić. Niewolników sam odeślę później, gdy wyjście będzie wolne. Chodź za mną.

Skręcił za filar, w przejście dostępne tylko kapłanom. Zeszli po schodach do obszernej krypty leżącej pod ołtarzem. Ponure to było miejsce. Na półkach wgłębionych w ścianę stały urny zawierające zwłoki niemowląt ofiarowanych bogom tuż po urodzeniu. Wpuszczano je w naczynia główką w dół i otwór zalepiano żywicą. Na pokrywach widniały imiona rodziców dziecka, by bóg zapamiętał, komu ofiarę zawdzięcza. Urn tych było bardzo wiele.

...Gdybym miał syna, nie ofiarowałbym go bogom — pomyślał Ab-Ram, ale go nie mam...

Jakgdyby odgadując tok jego dumań, Sep-Sin obrócił się:

— Nanna-tum stracił pierworodnego i nic za to nie uzyskał — zauważył, machając przygasającą pochodnią.

— Bóg nie spełni jego prośby?

— Nie może spełnić. Chłopiec krzyczał, matka krzyczała... Arcykapłan, gdy chce, potrafi zabić dziecko tak sprawnie, że nie zdąży jęknąć. Lecz Nanna-tum pragnie rzeczy niemożliwej, więc...

Przeszli z krypty w ciemny chodnik, schodzący pochyło w dół.

— Słowa, któreś teraz rzekł, Sep-Sinie, brzmiały szczerze. Racz powiedzieć twemu słudze, zali to Obed wyjawił ci uszkodzenie posągu boga i powtórzył moje nierozumne słowa?

— Mógłbym odpowiedzieć ci, synu Tarego, że my, kapłani, odkrywamy bez trudu większe niż ta tajemnice, i to byłoby prawdą, jak pawdą jest dzień. Tobie jednak powiem: Obed wyjawił.

— Postaram się, aby został natychmiast sprzedany.

— Dlaczego chcesz pozbawić swego ojca niewolnika, do którego się przyzwyczaił?

Ah-Ram spojrzał zdumiony.

— Skoro podsłuchuje i donosi?

— Ten nowy, sądzisz, nie będzie podsłuchiwał i donosił? Wierz mi Ab-Ramie, że Tare, syn Nachora, nie otrzyma innego niewolnika niż my chcemy.

— Poprzednio miał chłopca, który na pewno nie donosił...

— Dlatego został sprzedany. My nasłaliśmy kupca z wyrobami kreteńskimi, wiedząc czym zażyć Tarego... Ja sam kazałem Obedowi nie wracać do domu, aż kupiec odjedzie z tamtym...

— Czego chcecie od mego ojca!? — zakrzyknął Ab-Ram z oburzeniem.

— Uspokój się, synu Tarego. Nic nie chcemy. Mamy swoich ludzi wszędzie, w każdym domu...

Ab-Ram nasępił się i szli obok siebie milcząco. Pochodnia przyczyniała więcej dymu niż blasku, lecz daleko od wylotu chodnika zabłysło światło dzienne. Widok ten dodał synowi Tarego otuchy, uprzednio bowiem sądził, ze zeszli głęboko we wnętrzności ziemi. Zapragnął wydostać się stąd co szybciej.

— Nie przyszedłem po ciebie z własnej woli — przemówił znów Sep-Sin. Nergal Sar zauważył cię stojącego pod filarem.

— Kto jest Nergal Sar?

— Człowiecze?! Otwórz oczy i uszy twoje: Nergal Sar to jest stary, najdostojniejszy sanga-mahhu, znający wszystkie tajemnice ziemi. On zapytał mnie: kto jest ten mąż? Odpowiedziałem: Mąż, co chce wiedzieć, który z bogów jest największy...

— Ależ ja wiem! Powiedziałem przecież, że...

— Nie bój się Ab-Ramie. Sanga-mahhu powiedział mi: Gdy ten mąż zechce, przyprowadź go do mnie, a ja jemu wyjawię to, czego dusza jego łaknie...

— Nigdybym się nie ośmielił! Jestem prostak, nieuczony...

Sep-Sin spoważniał.

— Wierzaj mi, synu Tarego, że król babiloński czułby się szczęśliwy, gdyby wielki, stary Nergal Sar powiedział o nim: przyprowadź go do mnie.

Podchodzili do wylotu zamkniętego kratą z brązu. Kapłan odsunął zasuwę. Ab-Ram znalazł się na wolnym powietrzu, u stóp kopca, na którym stała świątynia. Poczuł wielką ulgę.

— Błogosławione dni twoje, Sep-Sinie! — zawołał z pośpiechem, odchodząc.

Zofia Kossak

*) „W świątyni Chaldejskiej" jest fragmentem powieści Zofii Kossak p.t. „Przymierze". Powieść ta ukaże się nakładem Katol. Ośrodka Wydawn. „Veritas" w połowie bież. roku. RED.

Z DZIAŁALNOŚCI P.K.S.U. VERITAS
OKRĘG SZWAJCARIA

Niebawem pięć lat upłynie od założenia pierwszego Koła P.K.S.U ,Veritas' w Szwajcarii. Było to Koło fryburskie, powstałe w r. 1947. Patronował mu niestrudzony opiekun tej organizacji O. Prof. I. Bocheński, któremu w pierwszym rzędzie Koło fryburskie zawdzięcza swoją żywotność i promieniowanie I tak powstały, za przykładem Fryburga, dwa inne Koła, genewskie i zuryskie. Obecnie istnieją więc trzy Koła w Szwajcarii, a prezesami ich są: P. Jadwiga Romerówna, Genewa; kol. mgr. Adam Bocheński, Fryburg; kol. mgr. Antoni Hruszka, Zurych. Wszystkie Koła liczą razem kilkudziesięciu członków. Rozwój ten skłonił władze Veritasowców szwajcarskich do podjęcia kroków w celu stworzenia Okręgu, grupującego wszystkie trzy Koła, z siedzibą w Fryburgu. Inicjatywa ta znalazła uznanie Zarządu Centralnego w Londynie, który w styczniu b.r. powołał do życia Okręg P.K.S.U. ,Veritas' w Szwajcarii, z prezesem Prof. Alfonsem Bronarskim, sekretarzem Ks. Janem Wawrzyńczakiem i członkami, którzy są wiceprezesami poszczególnych Kół: por. Czesławem Kaliną, Fryburg, drem Tadeuszem Starkiem, Genewa; inż Tadeuszem Zawadyńskim, Zurych.

Obecnie po trzymiesięcznym funkcjonowaniu, Zarząd Okręgu podaje do wiadomości następujące sprawozdanie z działalności wszystkich trzech Kół za ostatni kwartał:

Bliskie stosunki łączące Koła z Polską Misją Katolicką w Szwajcarii — rektorem jest O. Prof. Bocheński — pozwoliły na zorganizowanie miesięcznych regularnych nabożeństw w miastach stanowiących siedziby Kół. Nabożeństwa odprawiali O. Prof. Bocheński, O. Kasjan Wolak, Kapucyn, Ks Jan Wawrzyńczak. We wszystkich trzech centrach urządzone zostały rekolekcje wielkopostne, wygłoszone we Fryburgu przez Ks. mgr. Audrzeja Deskura, a w Genewie i Zurychu przez O. Kasjana. Rekolekcje zakończono wspólną Komunią św.

W okresie sprawozdawczym wygłoszone zostały we wszystkich trzech kołach następujące referaty i pogadanki, połączone z dyskusjami: kol. A. Dżoga: „Istota katolicyzmu", kol. A. Hruszka: „Światopogląd katolicki", kol. W. Nowaczyński: „Liturgia", kol. Z. Plaskowski: „Św. Tomasz z Akwinu (na podstawie książki Chestertona), P. Jadwiga Romerówna: „Katolicyzm w Stanach Zjednoczonych."

Poza tym odbyło się w Kole zuryskim jedno zebranie dyskusyjne, w obecności O. Prof. Bocheńskiego, poświęcone omówieniu programu pracy.

Z innych inicjatyw wymienić należy zorganizowanie na terenie Fryburga i Genewy pielgrzymek jubileuszowych w tamtejszych kościołach. Piękną działalność rozwija Sekcja społeczna Koła fryburskiego. z jej kierownikiem, p. C. Kaliną na czele. Koło Genewa zajmuje się czynnie pracą społeczną wśród polskich wieśniaczek okolicznych.

PRZED KANONIZACJĄ PAPIEŻA PIUSA X

BŁOGOSŁAWIENI I ŚWIĘCI PAPIEŻE

Pius X będzie 84 z kolei papieżem, wyniesionym na ołtarze.

Kościół ogłosił dotąd 76 papieży jako świętych i 7 jako błogosławionych. Do błogosławionych należą:

Wiktor III (1086 — 1087) odgrywający dużą rolę w sporze o inwestyturę i o ogłoszony błogosławionym w r. 1887,

Urban II (1088 — 1089), Francuz, ogłoszony błogosławionym w r. 1881,

Eugeniusz III, uczeń św. Bernarda, wyniesiony na ołtarz w r. 1872,

Grzegorz X (1271 — 1276), któremu na kongresie lyońskim udało się połączyć Kościół wschodni z zachodnim, błogosławiony od r. 1713,

Innocenty V (1276), ogłoszony błogosławionym w r. 1898,

Benedykt XI (1303 — 1304), Dominikanin, pracujący nad poprawą stosunków między Fracją a Stolicą Apostolską, ogłoszony błogosławionym w r. 1736 i

Urban V (1362 — 1370) jeden z papieży avignońskich.

Z papieży „świętych" 5 kanonizowano do r. 105, dziewięciu w okresie 109 — 199, czternastu między 199 — 296, dziewięciu w latach 296 — 399, 12 w okresie 399 — 701, pięciu 701 — 816, czterech 816 — 900. W latach 900 — 1000 żaden, a w okresie 100 — 1100 dwóch. Od r 1100 do dziś kanonizowano zaledwie dwóch papieży: Celestyna V w r. 1313 i Piusa V w r. 1712.

JAN BIELATOWICZ

WIECZERNIK

O XI „week-endzie" dyskusyjnym „Veritasu"

JEDNĄ z uderzających cech życia chrześcijańskiego jest jego bogactwo. Kto tylko spojrzy na nie z bliska, nie może oderwać oczu ni duszy od spraw ludzi z Bogiem i od spraw Boga z ludźmi.

Kalectwo jest największym nieszczęściem ludzkim. Człowiek bez rąk, bez słuchu, bez oczu budzi współczucie i przerażenie. Są jednak i kalectwa pozazmysłowe. Głębi ich grozy ludzie nawet zmierzyć nie są zdolni.

Nauka dowodzi, że oprócz utraty poszczególnych organów lub nerwów na drodze katastrofy — istnieje również możność obumierania i zaniku organów w wyniku ich nieużywania. Otóż wśród ludzi współczesnych obserwować można często zanik zmysłu metafizycznego. Bodaj że brak tego właśnie zmysłu jest przyczyną nieszczęść naszej epoki.

Chrześcijaństwa nie zrozumie człowiek z obumarłym nerwem metafizycznym. Nie pojmie jego odrębności od wszystkich ludzkich dzieł i poczynań, jego niezmierzonej treści, jego niekończącej się drogi. Jego bogactwa.

Maleńka broszurka w liliowej okładce z portretem staruszeczki w habicie zakonnym. Tytuł angielski: „Wieczernik" („Cenacle"). Jakaż może być treść tych małych kartek dla człowieka nieciekawego spraw Bożych? Porażony metafizycznie, nie znajdzie w sobie dość energii, aby broszurkę dojrzeć, a cóż dopiero wyciągnąć po nią rękę. A oto w tym zeszyciku jest wiara, która góry przenosi.

To życiorys założycielki zakonu Domów Rekolekcyjnych albo zakonu Wieczernika — matki Marii Teresy Couderc, której proces beatyfikacyjny dobiega końca. Za życia dzieło jej było maluczkie, ale życie samo było naśladowaniem Chrystusa. Jedynym widomym dziełem życia było założenie gospody dla pielgrzymów do grobu św. Jana Francis Regis w La Louvesc we Francji (rok 1828). Gospoda ta była pomysłem jezuity, ojca Terme, który skierował do jej zarządu i obsługi gromadkę pobożnych niewiast z Aps, z kierowniczką Marią Teresą Couderc.

Wysokogórska gospoda stała się rychło domem rekolekcyjnym i tysiące pielgrzymów zatrzymywały się w niej na „nowenny". Kobiety bowiem nie tylko usługiwały pielgrzymom. Wraz z nimi odprawiały modlitwy, adorowały Najświętszy Sakrament, recytowały Msze św., słuchały nauk. Wzorem dla nich była Matka Boża, spędzająca z Apostołami w Wieczerniku czas od Wniebowstąpienia do Zesłania Ducha św. Gospodę w La Louvesc nazwały też „Wieczernikiem".

Po rychłej śmierci ojca Terme gospoda w La Louvesc, słynąca już szeroko z pobożności i apostolstwa, uznana została za zgromadzenie zakonne. Patronką zgromadzenia, zatwierdzonego przez Leona XIII, została Matka Boża, a celem „chwała Boga poprzez domy rekolekcyjne".

Na przełożoną w La Louvesc, matkę Couderc, niebawem zesłał Bóg ciężkie próby. Pragnęła ona zawsze być najniższą ze sług Bożych i stało się jej wedle jej słów. Kłopoty gospodarcze sprawiły, że matka Maria Teresa ustąpiła z przełożeństwa. Przez dziesięć lat była przełożoną zgromadzenia Wieczernika, a przez dalszych lat 50 najniższą jego sługą. Pobożność tej kobiety była niezwykła. Przez całe życie zasłuchana była w Boga, nie posiadała żadnych tęsknot z tego świata, a największym jej szczęściem był Chleb Żywota.

Matka Couderc modliła się o możność naśladowania Chrystusa przez cierpienie. W czasie jednej z modlitw usłyszała głos: „Spłoniesz dla mnie na stosie cierpienia". Matka Couderc odpowiedziała, iż nie jest godna. Przez dziewięć miesięcy przed śmiercią ogień cierpienia trawił ciało staruszki. Straciła słuch, a całe jej ciało powykręcał straszliwie reumatyzm i inne cierpienia. Żadna pozycja ciała nie była dogodna, aby ulżyć męczarniom. Matka Maria Teresa modliła się w podzięce Bogu, że dał jej zaznać Jego męki na ziemi. Gdy wreszcie odeszła z tego świata, dnia 26 września 1885, jej cela wyglądała jak sanktuarium.

„Wieczerniki" Zgromadzenia Domów Rekolekcyjnych poczęły się mnożyć po całym świecie, a szczególnym znaczeniem cieszą się w krajach anglosaskich. W Wielkiej Brytanii istnieją 4 domy rekolekcyjne: w Hindhead w Surrey, w Londynie, Liverpoolu i Manchesterze. Tysiące katolików odbywa w nich rok rocznie rekolekcje. Poza tym odbywają się tu week-endy dyskusyjne intelektualistów, konwertytów i niekatolików, kursy wiedzy religijnej itp.

W domu rekolekcyjnym na Hampstedzie w Londynie odbywają się także week-endy dyskusyjne polskie.

W dniach 14 i 15 kwietnia br. odbył się XI week-end dyskusyjny „Veritasu". Niektórzy z członków „Veritasu" w Londynie byli związani w Polsce z Laskami, które w naszym kraju pod świątobliwym kierunkiem Matki Czackiej, spełniały rolę francuskiego La Louvesc. Był to zakład dla niewidomych. Z czasem stał się ogniskiem dla tych, którzy pragnęli przejrzeć duchowo.

Week-endy na Hampstedzie odznaczają się tym, że każdy z nich jest obsyłany coraz liczniej. Jest to kuźnia polskiej myśli katolickiej na obczyźnie.

Ostatnia dyskusja poświęcona była zagadnieniu przyjaźni chrześcijańskiej.

Pierwszego dnia po zagajeniu przez p. Tadeusza Drwęskiego wygłosił p. Jan Szuldrzyński referat, poświęcony oświetleniu istoty przyjaźni chrześcijańskiej na podstawie dzieła ks. prof. Konstantego Michalskiego pt. „Między heroizmem a bestialstwem".

Głośny konwertyta, Douglas Hyde, po napisaniu książki „I believed" otrzymał setki listów, które świadczyły, iż ogromna większość jego czytelników nie zrozumiała go. Bowiem zapytywali najczęściej, do jakiej mają się zapisać organizacji przeciwkomunistycznej. Tylko niewielu zrozumiało, iż jedyną radą na komunizm jest tworzenie życia chrześcijańskiego. Istotą natomiast życia chrześcijańskiego, które przeciwstawia się każdemu życiu innemu, jest przyjaźń czyli miłość. Przyjaźń czyli miłość ogniskuje w sobie problem życia chrześcijańskiego. Katolicyzm jest to najogólniej wiara w Odkupienie i miłość chrześcijańska. Odkupienie jest centralnym zagadnieniem prawd wiary, a miłość życia chrześcijańskiego.

Książka ks. Michalskiego — jednego z reformatorów powierzchowności polskiego życia katolickiego — powstała w czasie ostatniej wojny jako reakcja sumienia katolika na to, co się w świecie działo. Jest to dzieło nawskroś tomistyczne, lecz nasycone żarliwym uczuciem i prawdziwie polskim temperamentem.

W języku potocznym przyjaźń bywa przeciwstawiana miłości. Katolicy wszakże na podstawie swej Nauki sądzą, iż przyjaźń jest jednym z przejawów miłości. Przyjaźń i miłość istnieją oczywiście w naturze i są również poza chrześcijaństwem. Przyjaźń jest to zjednoczenie duchowe i wynika z konieczności dopełnienia człowieka jako bytu skończonego. Starożytni filozofowie uważali przyjaźń za dążenie do wzbogacenia życia, do wyzwolenia z człowieka większego żywiołu.

„Miłość jest jedna" — mówi św. Paweł. Wszelkie postacie miłości są drabiną dopełnień, której szczeblem ostatnim jest Bóg. Miłość jest wedle św. Tomasza drogą „in ordine ad Deum". Celem ostatecznym miłości jest szczęśliwość wieczna w Bogu. Każdy człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga, miłując więc człowieka miłujemy w nim Boga. Miłujemy bliźniego poprzez Boga, czy dla Boga.

Miłość Boga i bliźniego jest kamieniem węgielnym chrześcijaństwa. Jest to nowe i największe przykazanie Nowego Zakonu, sprecyzowane przez Chrystusa Pana. Chrystus zapewnił uczniów, iż będzie ich zwał nie sługami swymi, lecz przyjaciółmi.

Doktor Anielski największy ze swych traktatów poświęcił miłości. Wyróżnił tam cztery jej szczeble: 1) miłość upodobania, 2) miłość pożądania, 3) miłość życzliwości, i 4) przyjaźń. Pierwszą odmianę miłości nazwać możemy typem estetycznym uczucia, druga realizuje się na płaszczyźnie życia zmysłowego, trzecia występuje ze względu na dobro bliźniego, czwarta musi być wzajemna. Miłość jest przeżyciem (jako akt zjednoczenia), cnotą i przykazaniem. Miłość jest największą z cnót boskich, choć genetycznie pierwszą jest wiara w dwie nieśmiertelności: Boga i duszy. Przykazanie miłości bliźniego obowiązuje katolików w stosunku do wszystkich ludzi. Kochać mamy każdego, kogo miłuje Bóg. Bóg zaś umiłował wszystkich tych, których stworzył. Miłować zatem trzeba duszę człowieka lecz nie zło w nim. Zatem nieprzyjacioły miłować, to znaczy czcić w nich duszę, a zwalczać zło. Miłość bowiem musi być zawsze czynna, kultywowana, nieograniczona.

Prawdziwie religijne życie musi posiadać charakter społeczny. Przez chrzest stali się wszyscy chrześcijanie cząstkami Mistycznego Ciała Chrystusa. O człowieku nie można myśleć inaczej, jak tylko jako o cząstce tej zbiorowości. Stany mistyczne, to nie odwrócenie się od ludzi i ucieczka w samotność, lecz odsunięcie się chwilowe od świata, aby go lepiej ogarnąć w miłości. Nie ma miłości wzwyż bez miłości wszerz. Nie ma miłości Boga bez miłości ludzi.

Takie idee znów, jak marksizm, uspołeczniają wprawdzie człowieka, lecz zabijają w nim jego osobę i jej autonomię. Właściwe życie społeczne ma swe źródło w jedności, związanej z Bogiem, czyli w religii. Kapłaństwa nikt nie posiada dla siebie, lecz dla drugich. Chrześcijan obowiązuje kapłaństwo Chrztu św. Dopływ łaski obfitszy jest na drodze społecznego funkcjonowania religii. Wartości chrześcijańskie w nas są przeznaczone dla bliźnich. Stąd chrześcijaństwo oprócz osób moralnych uznaje osoby społeczne — o odrębnej mechanice istnienia i apostolstwa (n.p. gminy chrześcijańskie). Istotą przyjaźni chrześcijańskiej jest wspólnota przeżyć religijnych.

Społeczne tworzenie życia chrześcijańskiego jest ważniejsze, niż pogoń za dobrymi uczynkami. Stąd najważniejsza w życiu chrześcijanina jest nieustanna, ciągle czujna miłość społeczna.

W drugim dniu week-endu po wspólnie recytowanej Mszy św. i otwarciu dyskusji przez p. Marię Fudakowską rekapitulacją tez odczytu i dyskusji z pierwszego dnia zabrał głos p. Andrzej Malkiewicz, doktorant uniwersytetu w Oxford. Tematem odczytu były przyjaźnie G. K. Chestertona. Odczyt ten zamieści ŻYCIE w jednym z najbliższych numerów. W pięknej i dowcipnej formie prelegent nakreślił główne postacie przyjaciół Chestertona — brata jego Cecila, Edmunda Bentleya, Hilarego Belloca i Ojca O'Connora.

Ducha Chestertona najlepiej charakteryzują jego słowa: „Jeśli mam jakąś zaletę, to chyba tę, iż mógłbym przebaczyć 77 razy." Krótko przed śmiercią rzekł Chesterton: „Nikt nie miał takich przyjaciół, jak ja."

Kolejnym mówcą był ks. Tadeusz Kirschke, który streścił słynną książkę Raissy Maritain p.t. „Les grandes amitiés", przydając swej prelekcji wiele aluzji aktualnych w odniesieniu do środowisk polskich. Zobrazował jeden z najwspanialszych związków przyjaźni we współczesnej kulturze i drogi łaski Bożej, które doprowadziły do Boga wszystkie tego związku dusze, a mianowicie małżeństwa Maritainów, Karola Peguy, Ernesta Psichari i Jerzego Roualt — przez najstarszego z nich — Leona Bloy.

O „przyjaźni chrześcijańskiej w doświadczeniach polskich przeżyć wojennych" mówił z głęboką miłością do swych warszawskich kolegów z czasów okupacji niemieckiej p. Bolesław Taborski. Odczyt jego drukowany będzie w „Życiu". Rzadko kiedy zdarza się słyszeć mówcę, z którego słów biłaby taka wiara. Odczyt wywarł też na słuchaczach głębokie wrażenie, zwłaszcza dzięki mocnym akcentom serdecznych myśli o Kraju.

Wieczorem ks. Kazimierz Sołowiej wygłosił ostatni referat p.t. „Przyjaźń chrześcijańska podstawą solidarności katolików w ich aktywnym oddziaływaniu na świat i życie". Mówca najpierw przytoczył bogaty materiał teoretyczny, zaczerpnięty głównie z pism św. Tomasza, poczem przeszedł do wskazań praktycznych. Przez dawanie siebie człowiek bogaci się wewnętrznie. Miłość nie ginie, nie umiera, nie podlega zniszczeniu. Wartość człowieka polega tylko na tym, czym jest on dla drugich ludzi. Kościół na ziemi jest w nas wszystkich. A celem jego jest zrealizowanie poprzez miłość społeczną bosko-ludzkich pragnień szczęścia.

Późnym niedzielnym wieczorem z hampstedzkiego „Wieczernika" wracali do domów uczestnicy week-endu „Veritasu" w chłodzie życia obcego, ale z ognikami w duszach, zapalonymi przez Ducha św.

Jan Bielatowicz

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

EPISKOPAT ANGIELSKI W OBRONIE RODZINY

Biskupi Anglii i Walii wydali oświadczenie potępiające sprawozdanie Królewskiej Komisji w sprawie zaludnienia. Komisja ta przedstawiła parlamentowi projekt uzasadniający daleko idącą interwencję państwa w regulowaniu przyrostu naturalnego.

Zarzuty Biskupów dadzą się ująć w 4 punkty:

1. Plan Komisji jest przykładem „nadmiaru działalności państwa", o którym świeżo mówił Ojciec Święty;

2. Państwo, głosząc kontrolę urodzeń przywłaszcza sobie prawo określania ile dzieci — istot z nieśmiertelną duszą — ma się rodzić;

3. Jeśli rodzice ograniczą swoje rodziny, nawet środkami niewinnymi, w ramach planu państwowego kierując się motywami gospodarczymi, zrezygnują oni ze swoich praw ludzkich i podadzą się miarom materialistycznym;

4. Plan Komisji nie uznaje potrzeby wzięcia pod uwagę duchowej natury człowieka, ani chrześcijańskiego pojęcia małżeństwa. Biskupi występują szczególnie przeciwko projektowi instruowania wszystkich par małżeńskich o sztucznym ograniczaniu potomstwa. Polemizują oni również z tezą Komisji, że mniejsze rodziny wydają ze siebie inteligentniejsze dzieci. Inteligencja, twierdzą Biskupi, nie jest jedyną wartością w człowieku. Równie ważną jest sprawa charakteru: twierdzenie, że dzieci licznych rodzin są mniej inteligentne jest nieusprawiedliwione. Biskupi wzywają lekarzy katolickich, aby sprzeciwili się nauczaniu ograniczania potomstwa, gdyby taki obowiązek narzucano im w ramach państwowej służby zdrowia.

NABOŻEŃSTWO ZA MĘCZENNIKÓW BISKUPÓW UNICKICH. W niedzielę Męki Pańskiej w kościołach amerykańskich odbyły się nabożeństwa za wymordowanych przez komunistów unickich biskupów, księży i wiernych. Z tej okazji prasa amerykańska podała następującą listę ofiar wśród Episkopatu grecko-katolickiego:

Arcybiskup Szeptycki ze Lwowa, zmarły w tajemniczych okolicznościach w r. 1944, Bp. Choinyszyn ze Stanisławowa, zmarły w łagrze w 1948, Bp. Kocyłowski z Przemyśla, zamęczony w więzieniu w 1947., Arcybiskup Slipyj, przebywa w łagrze w Rosji, Bp. Łakota z Przemyśla, zmarły w łagrze w 1950, Bp. Budka, zamęczony w więzieniu, Bp. Łatyszewski ze Stanisławowa przebywa w łagrze na Syberii, Bp. Czarnecki z Wołynia — w łagrze na Uralu, Bp. Romża z Munkacza zabity w 1947, Bp. Szemrak z Kriżewców zamordowany w więzieniu, Bp. Gojdic z Preszowa rozstrzelany w 1951, Bp. Hopko z Preszowa, aresztowany i wywieziony, Bp. Verhuł zaginął bez wieści.

WSPOMNIENIE Z OSTATNIEGO KONKLAVE. Z okazji świeżej rocznicy sakry Papieża Piusa XII, dziennik mediolański „L'Italia" ogłosił wspomnienie arcybiskupa Mediolanu kardynała Schustera z konklave z roku 1939.

Kardynał Schuster siedział obok ówczesnego kardynała Pacelli w oczekiwaniu wyników ostatecznego głosowania. Obecny Papież powiedział: „Święty Pius V mówił, że kiedy był w swym klasztorze miał pewną nadzieję zbawienia, zaczął ją tracić gdy został Biskupem, a utracił ją zupełnie zostawszy Papieżem".

„Zrozumiawszy że kardynał Pacelli zamierza odinówić przyjęcia Pontyfikatu na wypadek wyboru, kardynał Schuster zauważył w odpowiedzi, że Pius V zaprzeczył swoim życiem własnej zapowiedzi i stał się jedną z najwspanialszych postaci odrodzenia katolickiego po soborze trydenckim Kardynał Pacelli nie odpowiedział nic, lecz po ogłoszeniu wyniku wyborów, a przed wyrażeniem zgody na jego przyjęcie zawołał bardzo głośno: „Zlituj się nade mną Panie, wedle niezmiernego Twego miłosierdzia!"

KONFERENCJA EPISKOPATU FRANCUSKIEGO. Po raz pierwszy od 45 lat zebrała się w Paryżu pełna konferencja Episkopatu francuskiego z udziałem 106 biskupów z 95 diecezji, z czterema kardynałami na czele. Na pierwszym punkcie porządku obrad stoi sprawa szkolnictwa katolickiego. Szkoły nie korzystające z żadnej pomocy państwa znajdują się w bardzo ciężkim położeniu materialnym.

Rozważana jest możliwość zawarcia konkordatu pomiędzy Kościołem i państwem w sprawach wychowania.

Innym punktem porządku obrad były sprawy liturgiczne i duszpasterskie, dotyczyły one takich zagadnień jak szerszego wprowadzenia języka francuskiego do liturgii. Mszy wieczornych w dni powszednie i misji, prowadzonych przez księży-robotników.

NOTATKI

Polak szwajcarskiego pochodzenia Konstanty Regamey, mianowany ostatnio profesorem zwyczajnym na uniwersytecie we Fryburgu, gdzie wykłada filozofię hinduską, reprezentował w końcu zeszłego roku Uniwersytet Fryburski, Szwajcarskie Stowarzyszenie Filozoficzne, Międzynarodową Unię Katolickich Towarzystw Filozoficznych, Fryburskie Stowarzyszenie Filozoficzne, etc. na „Silver Jubilee of Indian Philosophical Congress" w Kalkucie. Na Kongresie wygłosił wykład pt. „Comparison of the Standpoints of Indian and European Philosophies". Ponadto miał referaty na szeregu uniwersytetów, jak w Benares, Madras, Kalkucie, w towarzystwach naukowych, etc. Podejmowany był w Indiach jako gość państwa i rządu indyjskiego.

Prof. Regamey jest postacią na miarę średniowiecznego Doktora w swych wielkich i tak różnorodnych uzdolnieniach: wybitny filolog i literaturolog, jest wielkiej miary uczonym filozofem, świetnym muzykologiem, muzykiem i kompozytorem. Jest także wielkiego talentu pisarzem. — Starożytni Grecy na oznaczenie człowieka najwyższej kultury używali określenia: aner musicos. Mąż „muzyczny" zatem, a więc człowiek, który w harmonijny sposób jednoczy w sobie rozliczne talenty. Jedynie to helleńskie określenie pasuje dla ujęcia wielu dziedzin nauki i sztuki, które prof. Regamey tak znamienicie reprezentuje.

* * *

O. I. M. Bocheński O.P., jeszcze przed wojną „nawrócony" na logistykę, jest dziś, jak wiadomo, wybitnym i bardzo w świecie specjalistów cenionym przedstawicielem tej dyscypliny. Niedawno został wybrany członkiem „Association for Symbolic Logic".

* * *

O. Bocheński, jedyny bodaj uczony polski, który systematycznie i krytycznie bada i śledzi filozofię bolszewicką oraz ogłasza prace z tej dziedziny, wygłosił w lutym br. dwa odczyty także i z zakresu tej swojej specjalności, mianowicie: „Les développements récents de la philosophie soviétique" i „Notre conditionnement par l'histoire et la société".

Wielkim wzięciem cieszą się organizowane przez uniwersytet fryburski międzynarodowe zarówno co do składu prelegentów jak i słuchaczy, „kursa letnie". Trzecia z kolei „Summer School" ma za temat „Świat w podziałach" — „Divided World": szereg zagadnień z zakresu tomistycznej i egzystencjalistycznej antropologii.

* * *

„Najmłodszym" członkiem Międzynarodowej Unii Katolickich Towarzystw Filozoficznych jest „Sei Thomas Gakkai" — „Stowarzyszenie św. Tomasza" w Tokio liczące 13 członków zwyczajnych i 25 sympatyków — wszyscy niemal są profesorami filozofii.

* * *

Wyszedł trzeci tom, liczący 602 stron „Historii Filozofii" prof. W. Tatarkiewicza, (Kraków, 1950), obejmujący wiek XIX i XX. Jeśli chodzi o wiek XX, podział materiału jest następujący: I. 1910 — 1918 (pragmatyzm, Bergson fenomenologia, neorealizm brytyjski, neoscholastyka, szkoła marburska, Croce leninizm); II. 1918 — 1930 (problemy filozoficzne logiki fizycznej, psychologia i sociologia, Whitehead i Hartmann); III. po roku 1930 (neopozytywizm, egzystencjalizmu.

jt

NOWE FILMY

„The Browning Version" (Odeon, Leicester Square). Prod.: Teddy Baird (bryt.).

Zawsze bardzo sceptycznie odnosiłem się do filmowych przeróbek dzieł scenicznych, teatralność w kinie uważając za nieporozumienie artystyczne, za zubożenie nowszej, szerszej i potężniejszej sztuki przez naginanie jej do prawideł starszej, wielce szacownej lecz staromodnej siostry. Obejrzenie bardzo dobrego obrazu filmowego pt. „Przekład Browninga", wyreżyserowanego przez Anthony Asquith'a według sztuki scenicznej znanego angielskiego dramaturga Terence Rattigana, zmusza mnie jeśli nie do stanowczej rewizji tego poglądu, to przynajmniej do postawienia znaku zapytania, na który trzeba będzie odpowiedzieć w przyszłości.

Zestawienie tekstu sztuki ze scenariuszem filmu ułatwiłoby znakomicie odpowiedź na pytanie, czy każdy dobry utwór sceniczny jest materiałem na równie dobry film; niestety, nie znam tekstu, a sztuka Rattigana zeszła już z afisza. Warto będzie powrócić kiedyś do tego pasjonującego tematu, który sprowadza się do wykrycia możliwie precyzyjnych kryteriów rozróżniania artystycznych elementów żywiołu filmowego i teatralnego. Na razie poprzestaniemy na obserwacji, że dobry reżyser potrafi — przynajmniej niekiedy — stworzyć dzieło sztuki filmowej, wywodząc je wprost z teatru.

W „Browning Version" mamy do czynienia z arcyludzkim dramatem zmarnowania życia przez nauczyciela języków klasycznych, który po 18 latach pedantycznej, surowej, niemal policyjnej praktyki pedagogicznej, wykrywa nagle, że nie tylko nie zdołał wpoić w swych uczniów miłości greki i łaciny, ale ściągnął na siebie ich żywiołową niechęć. Gorzej jeszcze, zamknąwszy się w sobie, zracjonalizowawszy swe życie, uczyniwszy z powściągliwości i maskowania uczuć główną regułę postępowania — przegrał także swe szczęście osobiste. Żona nienawidzi go i zdradza, koledzy lekceważą, władze odmawiają mu emerytury, gdy słabe zdrowie zmusza go do opuszczenia gimnazjum. A jednak okazuje się że na dnie duszy tego nudziarza i pedanta, nazywanego przez uczniów gimnazjalnym Himmlerem, tkwią rzeczy piękne i bardzo ludzkie. Odruch psotnego ucznia Taplow'a który przynosi opuszczającemu szkołę profesorowi prezent w postaci egzemplarza „Agamemnona" w przekładzie Browninga, opatrzony pochlebną dedykacją — wyzwala ukryte głęboko sentymenty Crocker-Harrisa. I on próbował kiedyś przekładać „Agamemnona" — w owych czasach, gdy pragnął swą miłość świata antycznego przelać na innych.

„Przekład Browninga" jest piękną monografią psychologiczną zmarnowanego życia i pod tym względem przypomina słynną sztukę amerykańską „Death of a Salesman". Prócz tego jednak film oddaje atmosferę życia szkolnego Anglii i cechujący Brytyjczyków kult dla szkoły i profesorów jako przedstawicieli ciągłości i autorytetu. Profesorowie są na tej wyspie dość marnie płatni, ale — poczynając od stopnia gimnazjalnego — otaczani szacunkiem.

Omawiany film stoi przede wszystkim na wspaniałej grze Michael'a Redgrave'a. Każdy polski aktor i aktorka powinni obejrzeć to dzieło i uczyć się, jak nieuchwytnymi, ekonomicznymi środkami wyciąga się charakter człowieka, stwarza nastrój i napięcie. Scena wręczenia przez Taplowa „Przekładu Browninga" i opadnięcia maski ze starego nudziarza —zagrana głównie plecami, kapitalna w powściągliwej ekspresji — przypomina najwyższe osiągnięcia Jaracza, którego do dziś uważam za największego aktora świata.

Jean Kent w roli złej żony łacinnika — wcale dobra, lecz nie porywająca. Nigel Patrick — jako kochanek — zbyt ruchliwy, dwuwymiarowy, nieprzekonywający w bardziej dramatycznych momentach. Taplowa bardzo dobrze zagrał Brian Smith, a dyrektora gimnazjum żywo i charakterystycznie Wilfred Hyde White.

Nie znając tekstu sztuki trudno powiedzieć, ile własnej inwencji wniósł reżyser. Nie ulega jednak kwestii, że musiał to być udział niemały, skoro Asquith'owi udało się stworzyć dzieło sztuki kinematograficznej, wprawdzie nie najwyższej klasy, ale w każdym razie inteligentny przekład utworu scenicznego na język filmowy.

(sp)

*

„Tea for Two", kino Warner Theatre, prod.: Warner Bros.

Filmy muzyczne mają to do siebie, że niewiele da się o nich napisać. Z reguły błahe, przeważnie operują dobrymi siłami wokalno-muzycznymi i rzadko kiedy są niestrawne dla przeciętnego widza. Dla miłośników lekkiej piosenki i tańca zwykle stanowią bardzo miłą rozrywkę — nawet wtedy, gdy akcja jest tylko pretekstem do pokazania gwiazd, gwiazdeczek i gwiazdorów o dobrych głosach i zgrabnych postaciach, w oprawie eleganckich strojów, na tle bogatych wnętrz czy — rzadziej — plenerów.

„Tea for Two" — film nakręcony w żywym technikolorze — posiada wiele zalet swego gatunku i śmiało można go zaliczyć do rzędu dobrych osiągnięć lekkiej muzy, udzielającej się publiczności za pośrednictwem taśmy filmowej, choć z właściwą sztuką kinematograficzną niewiele ma wspólnego. Tu pokazano nam przede wszystkim doskonałą pieśniarkę i dobrą aktorkę Doris Day, świetnego śpiewaka Gordona MacRea, któremu ze względu na piękny głos można wybaczyć brak ekspresji scenicznej. Patrycia Wymore, grająca często w filmach kowbojskich, w „Tea for Two" wystąpiła z dużym powodzeniem jako tancerka. Humor w niezwykłym gatunku reprezentują: zabawny Węgier S. Z. Sakall, Eve Arden i B. De Wolfe. Film lansuje aż dziewięć starych, często zapomnianych piosenek V. Youmansa, G. Gershwina i in.; jedna z nich dały tytuł całej komedii. Reżyserował David Butler.

(sp)

VARIA

Literatura i psychologia. „The Times Literary Supplement" (16.2. b.r.) omawia przełożoną właśnie na język angielski książkę węgierskiego myśliciela komunistycznego, J. F. L. Lucas'a, p.t. „Literature and Psychology". P. Lucas jest krytykiem bardzo krytycznie zapatrującym się na krytycyzm krytyków przedmarksistowskich. Np. co do tak powszechnie uznanej wielkości pisarskiej, jak autor „Iliady", p. Lucas mówi: „Jest najzupełniej możliwe (conceivable), że w ciągu najbliższych kilku stuleci Homer przestanie wywierać wrażenie na czytelnikach. Wówczas jego renoma runie."

Tak! Jeszcze kilka marnych stuleci bolszewizmu i Homer nie będzie uważany za pisarza genialnego, chociaż przez trzy tysiące lat za takiego był uważany.

P. F. Lucas zapomina, że w ciągu tych trzech tysięcy lat również nie brakowało czytelników, na których Homer nie robił wrażenia. Ale, jak ktoś dowcipnie powiedział, nie zawsze jest winna książka, jeżeli, uderzywszy o czyjąś głowę, nie wywoła w niej oddźwięku. Sceptycyzm pana F. L. Lucas'a nie ma nic wspólnego ze sceptycyzmem, lub obiektywizmem Anatola France'a, czy Jules Lamaitre'a. Bo krytycyzm p. Lucas'a nie tyle jest sceptyczny, lub subiektywny, ile bezkrytyczny.

Zabawy erudytów. Przed dwoma miesiącami prof. Abel Lefranc wydał książkę (owoc trzydziestoletnich badań), w której próbuje dowieść, że dramaty Szekspira pisał nie Szekspir, lecz lord Derby. Obecnie J. Henry Poulaille wystąpił z tomem, zatytułowanym „Tartuffe ou la Comedie de l'Hypocrite" i stara się udowodnić, że „Tartufa" napisał nie Molier, lecz Corneille!

Nieboszczycy nie mogą się bronić przed tego rodzaju „uczonymi plotkami", ale krytycy i historycy z prawdziwego zdarzenia z łatwością dają sobie radę z tak „oryginalnymi" badaczami przeszłości. P. René Lalon już dał odprawę panu Poulaille na łamach „Le Nouvelles Litteraires".

Znów Krawczenko. Wyszła świeżo w Londynie książka p. t. „Wybrałem sprawiedliwość". Jest to obszerny komentarz do paryskiego procesu, który Krawczenko wytoczył paryskim pismom komunistycznym. Jak wiadomo, proces ten Krawczenko wygrał, ale uzyskał tak małe odszkodowanie ze strony skazanych oszczerców, że pod względem pieniężnym proces ten naraził oczernionego na straty. Nie ulega wątpliwości, że obecna książka będzie takim samym „bestsellerem", jak „Wybrałem wolność" i Krawczenko, przez tom „Wybrałem sprawiedliwość" nie tylko zada nowy cios propagandowy bolszewizmowi, ale zrobi dobry interes finansowy.

Jaros Janiseck. Nie łatwo jest uciec z katorgi rosyjskiej w Czechach. Udało się to jednak Czechowi nazwiskiem Jaros Janiseck, którego skazano na dwa lata do kopalni uranu w Jachimowie. Ponieważ nawet w kopalniach katorżniczych odbywają się wykłady na temat marksizmu, więc podczas jednego takiego wykładu J. Janiseck spróbował się wyśliznąć poza gromadę „uczniów". Szczęście mu sprzyjało. Następnie przez trzy miesiące przechowywał go chłop w swoim „obejściu". Stąd piechotą ruszył Janiseck do granicy, przekroczył ją i dostał się do amerykańskiej części Berlina. Był ocalony.

D. D. T.

ROMAN BRZEZIŃSKI

GRAHAM GREENE O CONRADZIE

W JEDNYM ze swych essayów, zawartych w wydanym właśnie zbiorze „The Lost Childhood"*), Graham Greene pisze, że ze zgonem Henry James'a „powieść angielska straciła zmysł religijny, a wraz ze zmysłem religijnym odeszło także poczucie ważności czynu ludzkiego. Było to tak, jakby świat twórczości powieściowej utracił jeden ze swych wymiarów; bohaterowie tak wybitnych pisarzy, jak Virginia Woolf i E. M. Forster, wędrowali niczem tekturowe symbole po świecie cienkim jak papier. Nawet u najbardziej materialistycznego z naszych wielkich powieściopisarzy, Trollope'a, świadomi jesteśmy tego drugiego świata, na tle którego zarysowane są działania bohaterów jego powieści..."

Po przeczytaniu tego fragmentu nasuwa się pytanie: a Conrad? Henry James zmarł w r. 1916. Conrad przeżył go więc o osiem lat, w ciągu których wydał kilka powieści i zbiorów nowel. Nie były to jego rzeczy najlepsze, niemniej pominięcie nazwiska autora „Ocalenia" i „Korsarza" musi zastanawiać. Wyjaśnienie poglądów Greene'a w tym zakresie znajdujemy w innym miejscu tego samego tomu, w krótkim szkicu pt. „Remembering Mr. Jones" (chodzi tu o makabrycznego Jonesa ze „Zwycięstwa"), omawiającym wydany w r. 1937 zbiór przedmów Conrada do jego własnych książek („Conrad's Prefaces to His Works"). Szkic Greene'a, mający charakter recenzji, skreślony został prawdopodobnie w tym właśnie czasie, a więc czternaście lat temu, — co nie musi dziwić gdy się zważy, że „The Lost Childhood" obejmuje rzeczy pisane w ciągu ostatnich lat kilkunastu i rozsiane po różnych czasopismach i książkach. W dodatku — co ważne — autor widocznie nie zmienił swych poglądów na Conrada od tego czasu, skoro niczym tego w książce nie zaznacza.

W recenzji swej Greene zestawia Conrada i Henry James'a.

„Osobliwym zrządzeniem losu — pisze — ci dwaj pisarze osiedlili się w odległości zaledwie kilku mil od siebie i stworzyli z materiału, zebranego na dwóch krańcach życia dwie spośród wielkich angielskich powieści ostatniego półwiecza: „The Spoils of Poynton" i „Victory".

„Uświadomienie sobie tego — zauważa Greene — sprawiłoby niewątpliwie przyjemność Conradowi. Przyniosłoby zadowolenie resztkom jego zmysłu religijnego, a zmysłu tego pozostało mu niewiele ponad odległe wspomnienia dzwonów kościelnych i zapachu kadzideł. James spędził swe życie, działając w kierunku i dokoła Kościoła katolickiego, przyciągany przez ten Kościół odpychany i chłonący; Conrad urodził się jako katolik i skończył, pod względem formalnym na gruncie poświeconym, z całego katolicyzmu zachował jednak tylko ironiczne poczucie wszechwiedzy oraz poczucie ostatecznej nieważności ludzkiego życia... Edward Garnett (w swej przedmowie — przyp. autora art.) wydobywa znów dawną legendę o słowiańskim pochodzeniu Conrada, czemu Conrad wyraźnie zaprzeczał. Polacy nie są Słowianami. — Conrad jest podobny do Francuzów, ongiś narodu katolickiego; podobny na przykład do autora „La Condition Humaine" w swej retoryce porzuconej wiary. Degradacja umysłowa, na którą skazana jest inteligencja człowieka podczas wędrówki przez życie'; 'namiętności człowieka krótkowzrocznego w dobrem i w złem' — w takich to rozproszonych u Conrada zdaniach znajdziecie wspomnienie wiary, przebijające się jak poezja poprzez prozę agnostyczną."

Te sformułowania Greene'a — pisarza zresztą o niezwykle bystrej i subtelnej inteligencji — nie wydają mi się szczególnie przekonywające. Greene wyraźnie tu coś przerysowuje, czegoś nie docenia, co może być spowodowane faktem, że nie wgłębił się w dzieła pisarskie Conrada w tym stopniu, co w dzieła Henry James'a, któremu poświęcił całą rozprawkę, złożoną z czterech części.

Pomijamy tu kwestię „słowiańskości" Conrada. Conrad nie zaprzeczał nigdy, by Polacy byli Słowianami, oburzało go tylko, gdy tę słowiańskość identyfikowano często na Zachodzie z rosyjskością i gdy pewni krytycy podkreślali rzekome pokrewieństwo jego twórczości z powieściami Dostojewskiego. Uważał się za związanego duchowo znacznie głębiej z literaturą francuską i angielską, niż z rosyjską.

Chodzi tu jednak o sprawę dużo jeszcze ważniejszą: o pogląd Greene'a, że zmysł religijny znajdował się u Conrada w stanie szczątkowym; z tym właśnie poglądem trudno się zgodzić.

Conrad nie był świadomym chrześcijaninem co do tego nie może być wątpliwości. Podobnie jak tylu jego rówieśników był w znacznej mierze wychowankiem epoki pozytywistycznej — z jej sceptycyzmem i jeśli nie ateizmem, to w każdym razie agnostycyzmem. Był także, jako Polak, dzieckiem ery popowstaniowej; na kształtowanie się jego duchowości wpływ wielki niewątpliwie wywarła klęska sprawy w którą ojciec jego włożył wszystko. Jako chłopak kilkoletni patrzył na okrutną śmierć swej matki na wygnaniu, a później — w Krakowie — na powolne konanie swego ojca, któremu przejścia tych lat zrujnowały zdrowie. Uraz tych wspomnień, uczucie okrutnej i beznadziejnej niesprawiedliwości tego wszystkiego, zaciążyło nad linią jego rozwoju umysłowego i nad jego twórczością w sposób niezwykle silny.

Jeśli jednak Conrad nie był przekonanym katolikiem w zakresie nauki i dogmatów, to właśnie zmysłu religijnego i moralnego nie podobna mu moim zdaniem, odmówić. Zagadnienie dobra i zła, które stanowi centralną oś utworów powieściowych Greene'a i naczelny probierz jego ocen literackich zawartych w zbiorze „The Lost Childhood", wybija się na plan pierwszy choć w innej postaci, także w twórczości Conrada. I nie jest to moralność tylko z tego świata, czy moralność subiektywna: bohaterowie Conrada w walce z wrogim losem i siłami zła opierają się o świat inny, świat stałych, niezmiennych wartości, którym pozostają wierni do końca. Stąd, nawiasem powiedziawszy ta złość, z jaką atakują Conrada krytycy marksistowscy w Polsce, dla których jedynym probierzem moralności jest przydatność w realizowaniu ustroju sowiecko-komunistycznego przydatność wszystko poza tym rozgrzeszająca.

Jeśli nawet w powieściach materialisty Trollope'a — jak stwierdza Greene — czuje się obecność „tego innego świata", to o ileż bardziej odczuwamy tę obecność, obecność Boga w twórczości Conrada, mimo wszystkich jej desperackich akcentów i konsekwentnego agnostycyzmu autora! Co więcej, ów zmysł religijny ma u Conrada charakter wyraźnie chrześcijański, a nawet w znacznej mierze katolicki. Niepodobna pisać o tym szerzej w krótkim stosunkowo artykule, warto jednak wskazać na bardzo katolicki motyw pokuty, a nie poprawy tylko i oczyszczenia się w ten sposób z grzechu — motyw dokoła którego osnuty jest dramat Lorda Jima.

„Katolickości" — nie katolicyzmowi — Conrada poświęcił osobne studium Gołubiew w krakowskim „Znaku". Dalej od niego poszedł recenzent tygodnika „Catholic Herald", który pisząc o nowym angielskim wydaniu pism Conrada**) taką wypowiedział uwagę:

„Powiedziano o tym Polaku, który stał się klasykiem angielskim i którego sława rosnąć będzie z biegiem lat, że stworzył on własny świat, fantastyczny i tajemniczy. Tajemnica ta — nawet jeśli tego był nieświadom—spoczywała w jego katolickiej wizji... Conrad był polski i europejski — i jego wizja, przetopiona na kształt angielski, jest może rzeczą najbardziej katolicką w po-reformacyjnej literaturze angielskiej".

Twierdzenie to, być może, ujęte jest zbyt skrajnie, chyba jednak znajduje się w nim jakieś ziarno prawdy.

* * *

W zbiorze „The Lost Childhood" spotykamy jeszcze jedną rzecz, charakteryzującą Conrada: recenzję wydanej w r. 1935 książki Jessie Conrad p. t. „Joseph Conrad and his Circle". Greene, przeczytawszy te wspomnienia, uderzony jest „egoizmem" jaki Conrad okazywał jakoby w pożyciu domowym, zwłaszcza wobec żony. Wspomnienia wdowy po pisarzu mają jednak — jak wielokrotnie już podkreślano — charakter jednostronny; ich pole obserwacyjne jest wąskie i dlatego, mimo całego przywiązania Mrs. Conrad do męża, nie dają one przybliżonego nawet obrazu osobowości wielkiego pisarza, jego charakteru i usposobienia. Sam zresztą Greene kwestionuje obiektywizm autorki w innym punkcie—w tym mianowicie, co pisze ona o Fordzie Madoxie Fordzie, współpracowniku i przyjacielu Conrada we wcześniejszym okresie jego kariery literackiej. W dalszym ciągu zaś Greene podkreśla, że i Conrad cierpiał w małżeństwie. Cierpiał — dodajmy od siebie — jako człowiek niezmiernie wrażliwy i nerwowy, człowiek przy tym chory, któremu pisanie przychodziło z wielką trudnością.

A przecież byłoby rzeczą ryzykowną twierdzić, że małżeństwo Conrada było błędem czy nieszczęściem. Miało ono również swe jasne strony, co wyziera i ze wspomnień Jessie, i z korespondencji Conrada, i z relacji przyjaciół.

Echa twórczości Conrada rozsiane są i w paru innych rozdziałach książki Greene'a. W swym pierwszym szkicu o Henry James'ie przytacza on z wyraźną aprobatą conradowską definicję sztuki jako „rzetelnej próby wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu". Jest rzeczą interesującą śledzić, jak wiele wybitnych umysłów ujętych zostało głębią i trafnością tej definicji, łączącej w sobie czynnik estetyczny z moralnym.

W ogóle zresztą Greene ceni wysoko plon pisarski Conrada. Dał temu wyraz w odpowiedzi na ankietę rozpisaną przez londyńskie „Wiadomości" w r. 1949. Powiedział tam Greene, że od młodości był wielbicielem dzieł Conrada i że pisarzowi temu, jego zdaniem, przypadnie trwałe miejsce w literaturze angielskiej, dające się porównać co najmniej ze stanowiskiem, jakie zajął Dostojewski w literaturze rosyjskiej.

* * *

Jest może niesprawiedliwe, pisząc o zbiorze essayów Greene'a, skupiać uwagę głównie na tym, co dotyczy jednego tylko pisarza. Wspomnieć więc przynajmniej na zakończenie wypada że przedmiotem omówień i refleksji Greene'a jest cała galeria pisarzy i innych osobistości, od Fieldinga po Mauriaca i Waltera de la Mare. Jeden z niekatolickich krytyków angielskich podkreślił, że Greene jako katolik widzi i uwydatnia w utworach literackich aspekty i zagadnienia, przez krytyków w Anglii niemal zawsze pomijane. Jest to uwaga bardzo słuszna, — na tym właśnie w znacznej mierze polega wartość nowej książki pisarza, którego powieść „Sedno sprawy" spotkała się z tak gorącym przyjęciem i tak ożywioną dyskusją także w Polsce — a może nawet specjalnie w Polsce.

Roman Brzeziński

*) Eyre and Spottiswoode, cena 12/6.

**) Patrz numer r d. 27 grudnia 1946 r.

ZAPISKI ANEGDOTYCZNE

TWÓRCA O KRYTYKACH

Znakomity kompozytor, Sibelius, w odpowiedzi na pewną ankietę:

„Zwrócę pańską uwagę na fakt następujący: nie ma na świecie miasta, w którym by się znajdował pomnik krytyka."

AFORYZM

W papierach Victora Hugo znajdują się, między innymi, takie dwa aforyzmy:

„Nie obmawiajcie swoich oszczerców."

„Kto jest zawistny, przyznaje się do niższości."

SAMOCHÓD HITLERA

P. Gehrard Mengden, Amerykanin, który po wojnie kupił samochód Hitlera za duże pieniądze, doznał lekkiego rozczarowania.

Nabył ten samochód (z „demobu"), ponieważ miał to być wóz jedyny w swoim rodzaju nie tylko pod względem wygód, ale i bezpieczeństwa. Nie przenikały go żadne kule, nic nie mogły zrobić granaty zapalające, no i tak się zamykał, że nikt nie mógł dostać się do środka, takie miał zatrzaski, szyby, ściany, dach i podłogę.

Do pana Mengdena nikt nie strzelał i nikt w niego nie celował granatami pożarowymi, ale...

Pewnego razu p. Mengden, wróciwszy do swego szczelnego wozu, zamkniętego na wszystkie spusty, nie znalazł 175 dolarów, które zostawił na poduszkach tylnego siedzenia. Wystarczyło kilka minut nieobecności p. Gehrarda Mengdena, żeby czyjaś „przenikliwa" ręka wyjęła z nieprzenikalnego wozu 175 dolarów!

ROSSINI

W r. 1867 Rossini, autor „Wesela Figara", patrzył z balkonu swego mieszkania w Paryżu na kondukt żałobny Meyerbeera.

Pewien młody kompozytor, który właśnie był u Rossiniego, powiedział:

— Maestro, ten marsz żałobny, który w tej chwili grają, ja napisałem. Co pan o nim powie?

— Co powiem? — odparł Rossini. — Lepiej by było, żeby pan umarł, a marsza żałobnego napisał Meyerbeer.

DOWCIPNY DZIENNIKARZ

Przed kilkudziesięciu laty do najdowcipniejszych dziennikarzy europejskich należał Henryk Rochefort. Przed jego piórem drżeli ministrowie i nawet dziennikarze. Pewnego razu tak zredagował w swoim piśmie pewną wiadomość:

„Rząd zamówił u p. Barye konną statuę Napoleona III. Wiadomo, że p. Barye należy do naszych najsłynniejszych rzeźbiarzy zwierząt."

Innym razem napisał:

„Minister Ives Guyot jest tak tępy, że w końcu zauważył to nawet prezydent Carnot".

Albo taki żart:

„Chateaubriand jest do tego stopnia smacznym pieczystem, że aż się stał nazwiskiem wielkiego pisarza."

C. C

ZAPISKI LONDYŃSKIE

CROSSMAN O KSIĄŻCE STYPUŁKOWSKIEGO

Znany angielski publicysta lewicowy R. H. S. Crossman omawia w tygodniku „New Statesman and Nation" trzy ostatnio wydane książki o Rosji Sowieckiej: „Russia by Daylight" Edwarda Crankshaw (Michael Joseph, cena 15 sh), „Zero" Roberta Payne (Wingate, cena 12 sh. 6 d) i „Invitation to Moscow" Zbigniewa Stypułkowskiego. Z artykułu wynika, że największe wrażenie zrobiła na Crossmanie książka Stypułkowskiego.

Crossman stwierdza, że studium Payne'a „Zero" jest warte czytania, „choćby dlatego, że Payne rozumie, iż nie możemy poznać naszego wroga póki łudzimy się, że podziela on nasze cele, a błądzi tylko co do środków".

„Zrozumienie tego — pisze dalej Crossman — znajdujemy także u p. Stypułkowskiego. Dla polityki stronnictwa polskiego, do którego należy autor „Invitation to Moscow", mam równie mało sympatii, jak dla jego wiary religijnej. Z pierwszej części jego książki wynika jasno, że jest on reakcjonistą, z filozofią społeczną i takim typem nacjonalizmu polskiego, jakiego zachodni socjalista przyjąć nie może. A przecież, czytając „Invitation to Moscow", uprzytamniamy sobie, że reakcyjna Polska była cywilizowana w porównaniu czy to z hitlerowskimi Niemcami czy Związkiem Sowieckim; i kiedy p. Stypułkowski, łącznie z piętnastu innymi przywódcami polskiego Ruchu Oporu, zaproszony został w marcu 1945 r. na obiad do marszałka Żukowa po to tylko, by znaleźć się w więzieniu N.K.W.D. w Moskwie, przetrwał on swój proces jako odosobniony obrońca (champion) humanizmu zachodniego. W drugiej części książki opisuje z dokładnymi szczegółami najpierw badania, którym był poddany w więzieniu na Łubiance, a później proces. Wedle rosyjskiego prokuratora był on pierwszym więźniem, który nie przyznał się do winy w którymś z sądów moskiewskich — i przebrnął zwycięsko dzięki samej tylko sile moralnej. Opis tych doświadczeń jest jednym z najznamienniejszych dokumentów, jakie kiedykolwiek czytałem. Jest to opowieść o tym, jak izolowana, pozbawiona snu, wygłodniała istota ludzka zwyciężyła potężną machinę, nastawioną rozmyślnie na zniszczenie osobowości ludzkiej. Celem N.K.W.D. było zastąpić wolnego ducha wolą niewolnika, a fakt, że prowadzący śledztwo w więzieniu zrezygnowali z krótkiego cięcia w postaci tortur fizycznych, nadaje ich technice jeszcze bardziej nieludzkie piętno. Naziści, nawracając do barbarzyństwa łamali ciała swych ofiar; bolszewicy, z nieskończenie większym wyrafinowaniem, osłabiają tylko ciało, by wystawić duszę na tortury bardziej wyszukane. P. Stypułkowski przeżył to wszystko i opisał całą tę procedurę w książce, w porównaniu z którą „Darkness at Noon" Koestlera robi wrażenie zręcznej imitacji (clever pastiche). Gdy czytasz ten opis ponownie, czujesz że to właśnie jest nieprzyjaciel. Nie naród rosyjski, nie Armia Czerwona, nie komunizm, lecz ów Lewiatan, którego celem jest zniszczenie wolnej woli i stworzenie automatów.

„Trzy te książki, przeczytane razem, — kończy Crossman — spełniają regułę Arystotelesa: oczyszczają duszę przez litość i obawę. Oczyszczają także myśl z komunałów (clichés) neutralistycznych. Cóż to za nonsens mówić o socjalistycznej Wielkiej Brytanii jako równie odległej od bloku komunistycznego i bloku kapitalistycznego, albo też sugerować, że Stany Zjednoczone, ze wszystkimi nawet ich brakami i błędami, przedstawiają dla cywilizacji niebezpieczeństwo, dające się porównać z niebezpieczeństwem ze strony Związku Sowieckiego. Zachodzi tu cała różnica, dzieląca niebezpiecznego przyjaciela od złego wroga."

MIĘDZYNARODOWY INSTYTUT PRASY

W najbliższym czasie powołany ma być do życia w Szwajcarii Międzynarodowy Instytut Prasy (International Press Institute), którego kierownikiem będzie Lester Markel z „New York Times'a". Powstanie instytutu umożliwione zostało dzięki hojnym dotacjom z fundacji Forda i Rockefellera.

Celem instytutu ma być podnoszenie poziomu prasy i walka o wolność prasy. Przedstawicielem prasy brytyjskiej w instytucie będzie Murray Watson, redaktor edynburskiego „Scotsmana".

Donosząc o tym londyński „Observer" czyni uwagę, że instytutowi trudno będzie wywierać wpływ tam właśnie, gdzie to będzie najbardziej potrzebne. Niemniej instytut może odegrać pożyteczną rolę przez wywieranie nacisku w kierunku wolności prasy w krajach pół-dyktatorskich takich jak Argentyna; przez rozważanie sprawy rozdziału papieru gazetowego między poszczególne kraje; wreszcie przez ustanawianie stypendiów, które by pomogły w podnoszeniu technicznego poziomu prasy w krajach zacofanych i w koloniach.

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

„WSPÓLNA OJCZYZNA"

W ŻYCIU z 15 kwietnia br. p. Wiesław Żyliński zamieścił osobliwy artykuł, coś jakby extemporale według znanych wzorów na temat **jednej i niepodzielnej** „ojczyzny". Nie zajmuję się tu cytatami z prof. Abramowskiego, za którymi p. Żyliński się opowiada, mianowicie, że narody mają rzekomo „swoistą duszę", że „ojczyzna (...) stanowi ich (tj. ludów) własną duszę, jest głębszą i najważniejszą cząstką jaźni każdego człowieka", bo każdy katolik odrzuci bez wahania idealistyczny materializm i determinizm takich twierdzeń. Chodzi mi natomiast o inne wywody autora „Pierwiastków indywidualnych w socjologii", które stanowią zasadniczą podbudowę tezy p. Żylińskiego o „jednej i niepodzielnej". Są to owe domniemane przykłady z Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec, na których podstawie prof. Abramowski a za nim p. Żyliński konstruują swój argument za „wspólną ojczyzną".

Dla przypomnienia powtórzmy przykład Abramowskiego, dotyczący Anglii:

„Zobaczmy taką Anglię. Celtowie, zamieszkujący Walię i południowe brzegi Anglii, nie mogą się porozumieć ze Szkotami; Szkoci nie rozumieją języka londyńczyków itd.; spotykamy tu odmienną mowę, odmienne zwyczaje, podania, ubiory. Pomimo to, jest tylko jedna ojczyzna angielska dla wszyskich".

Edward Abramowski znał zagranicę. Przebywał we Francji, Szwajcarii, Belgii, Anglii. Ale ciasnota czasów, przyrodnicza i materialistyczna zasłona nie pozwalały mu dojrzeć istoty rzeczy. Mógł on sobie pisać to, co przed chwilą zacytowałem o rzekomej „ojczyźnie angielskiej". Okazuje się, że nie orientował się dostatecznie ani w historycznym ani w sobie współczesnym stanie rzeczy. Ale p. Żyliński mieszkający na Wyspie 11 lat miał przecież dość czasu i sposobności, aby się przekonać, że twierdzenia Abramowskiego są zupełnie bezpodstawne. Tymczasem używa ich właśnie jako... dowodu za swoją tezą. Co sądzić o konkluzji, wyprowadzonej na siłę z fałszywych przesłanek?

P. Żyliński cytuje drastyczne powiedzenie Czesława Jankowskiego, które kursowało nawet w znacznie ostrzejszej formie, że „lepsza jest jedna przynosząca dochód kamienica na zachodzie Polski, niż całe województwo na wschodzie". Jest to twierdzenie tak naiwne, że nie ma potrzeby nim się zajmować. Ale przytoczone przez p. Żylińskiego w odpowiedzi wileńskiemu literatowi wywody znanego socjologa, zwłaszcza, gdy się je preparuje, świadomie czy nieświadomie, dla pewnych tez doraźnych, są co najmniej bałamutne.

Dostatecznie chyba znamy stosunki na Wyspie, aby wiedzieć, jak i co mówi się w Walii o metodach tworzenia „wspólnej ojczyzny angielskiej", jak bardzo Walijczycy uważają za zagranicę to wszystko, co jest poza ich językowym obszarem. Interesujących się niektórymi aspektami tego zagadnienia pozwolę sobie odesłać do artykułu w ŻYCIU z 22 kwietnia br. pt. „Narody nie umierają". Jeśli już nic innego, to przynajmniej afera z kamieniem koronacyjnym przypomina nam, że także Szkoci bynajmniej nie zatracili poczucia swej narodowej odrębności. — Pewien wybitny polski wojskowy zapytał (przed ostatnią wojną) generała Ironside'a, co on j a k o A n g l i k sądzi o nadchodzącej sytuacji. W odpowiedzi usłyszał, że bynajmniej nie jest Anglikiem, ale Szkotem. Ludzie tych krajów nie mówią bowiem o żadnej wspólnej „ojczyźnie angielskiej", lecz o Brytyjskiej Wspólnocie, a to bynajmniej nie jest to samo. I jest rzeczą doprawdy aż krępującą przypominać te sprawy. Gdyby p. Żyliński przejechał się po różnorodnych hostelach na Wyspie, mógłby też zobaczyć, że są tu i tacy, którzy w rubryce o narodowości zapisują się jako Kornwalijczycy, choć język ich zamarł, lub jako ludzie z wyspy Man, etc.

A teraz Francja. Pewien bardzo wybitny uczony francuski, zapytany, jakie zna języki obce, na pierwszym miejscu wymienił — francuski. „Przede wszystkim bowiem muszę zauważyć — odpowiedział — że francuski nie jest moim językiem ojczystym". Ów uczony bowiem pochodził z celtyckiej Auvergne. Inny, również wybitny naukowiec Francji, który mógł sobie pozwolić na swobodę wypowiedzenia, marzył głośno, że dożyje jeszcze czasów, kiedy będzie mógł być dygnitarzem na odrodzonym dworze książąt Bretanii. Słyszał zapewne p. Żyliński o świeżo utworzonej przez katolików francuskich katedrze języka bretońskiego, bo do integralności postawy katolickiej należy uniwersalne poczucie istotnej ważności — także dla tego, co się nazywa „jakością duszy, która ma być zbawiona" — tego, co jest narodową i kulturalną odrębnością każdego zespołu; podkreślanie a nie zamazywanie mniej lub więcej przymusowe, różnic narodowościowych.

Wniosek z tego taki, że „Francja jedna i niepodzielna", wytwór zlaicyzowanego centralizmu Rewolucji, bynajmniej nie trafia tak bardzo do świadomości, a przynajmniej podświadomości wszystkich Francuzów (a już zupełnie taki centralizm nie trafia — jako pozapirenejska transpozycja — do świadomości mieszkańców Hiszpanii). Cokolwiek można by powiedzieć o różnych błędach marszałka Pétain, na konto godnych uwagi wysiłków jego rządów należy zapisać obok troski o właściwe postawienia zagadnienia pracy i rodziny — także usiłowania, aby przywrócić autonomię regionalną rozmaitych dawnych „Prowincji".

Italia. Nie chcę tu powracać do zagadnienia np. Sycylii, o czym już parę lat temu w ŻYCIU pisałem. Pragnąłbym natomiast wskazać na głośną książkę Carla Levi „Cristo si è fermato a Eboli". Oto chłopi południowi, wydziedziczeni wiekami panowań „rzymskich" od starożytności począwszy. Mówią po włosku, ale o „ludziach z Rzymu", o „tych z Rzymu" mówią jak o wrogach i odczuwają ich jako wrogów. Słusznie wnikliwy autor, artysta przecież, stwierdza, że żadne etatystyczne reformy, żadne centralizmy niczego tu nie zmienią. Musi przyjść jedynie uznanie odrębnej „cywilizacji chłopskiej" w odrębnych jednostkach czy kuriach administracyjno - kulturalnych.

Oto więc jak wyglądają owe jednolite i niepodzielne „ojczyzny" Abramowskiego. W każdym razie nie tak jak on sugeruje i już zupełnie nie tak, jak podpowiada jego komentator. Wspólnoty ale i nie wspólnoty. Co najmniej splot niewygładzonych powikłań i natężenie r o s n ą c y c h napięć. Ojczyzna — to nie sztuczny zabieg, dokonywany z punktu widzenia „planifikacji" i „racji stanu". A przecież są to państwa stare, o zdecydowanym przez geografię obliczu i granicach.

Niemcy? Nie wiem czy sukces Führera nie polegał w dużej mierze na tym, że pojęcie wpólne „Deutschland" było nie zapładniające i nie wystarczające dla większości Niemców z powodu ich wewnętrznych różnic, które jeszcze bardziej wzrastały pod wpływem pruskich na nie zamachów unifikacyjnych. Hitler użył z powodzeniem innego wiązadła, sztucznego również, ale kolorowego, barwniejszego emocjonalnie, nie racjonalnego, ale mitycznego: wiązadła „rasy nordyckiej", dynamicznego hasła „przyszłości w przeszłości" a nie „przyszłej przeszłości", a więc nieruchomego ideału powrotu do czegoś, czego i tak nie było.

Kiedy mowa o zagadnieniach związanych z pojęciem narodowości, trzeba pamiętać o pewnych koniecznych rozróżnieniach, o jakim takim najbardziej przybliżonym jeśli już nie ustaleniu — bo to niezmiernie trudne sprawy — to przynajmniej zlokalizowaniu pojęć. Otóż nie można zachodnich przykładów itd. przenosić dosłownie na wschód. Albowiem pojęcie narodu i państwa po drodze do Odry zmienia się przynajmniej dwa razy:

Do Renu panuje starożytny prymat pojęcia państwa, w które Rewolucja francuska usiłowała wlać pojęcie narodu. Od Renu zaś na wschód zaczyna się romantyczne pojęcie „ludu". Za Odrą zaś zmienia się to wszystko na pojęcie Wiary. Niekoniecznie religijnej wiary w sensie wyznania, lecz wiary w pewną odrębną przyszłość. Naród staje się nosicielem pojęcia o świecie i roli danego jego członka w nim. Trudno więc w takich warunkach mówić o jednolitości zjawisk socjologicznych, związanych z pojęciem ojczyzny. Argument więc czerpany z prof. Abramowskiego upada tym samym, jak upada już dla zwyczajnej nietrafności samych członów indukcji, którą się posługiwał.

Cóż pozostaje?

Jako katolik sądzę, że socjologicznie, nie sposób jest wykryć, odizolować i zbadać (mówiąc przenośnie:) „bakcyla" czy „grzybka" narodowości. Z jednej strony różne narody, różne ojczyzny, są zjawiskami jednocześnie historycznymi i „dziejącymi" się aktualnie, złożonymi z elementów moralno-biologiczno-humanistycznych, które się ani ujarzmić, ani przefasonować nie dają, ponieważ — i to jest druga strona zagadnienia, najistotniej katolicka — odpowiadają pewnym założeniom, które można by nazwać myślą Boską, realizowaną przez nie w czasie; w dziejach.

Te „zjawiska", te narody, tyle mają z sobą wspólnego, że w każdym występują owe dwa spojone z sobą złoża elementów: ziemskich i niebieskich. Ale każde zazębienie tych elementów ma inny skok i w każdym narodzie inne są układy zazębień. Każdy naród ma swój inny znak — powiedzmy, „chemiczny". Nie mogą zatem podpadać pod wspólny mianownik socjologiczny: nie jest on zatem stosowny nawet jako próba wyjaśnienia; niczego nie wyjaśnia istotnie, albowiem „kreska" nad tym hipotetycznym mianownikiem zaczyna się i kończy w nieskończoność.

Natomiast, nie podlegając żadnym niwelacyjnym mianownikom, wszystkie narody podlegają moralności i sprawiedliwości. Im wyższy jest w nich stopień elementu duchowego, tym większa konieczność tych dwu skal i tym bardziej nieubłagane skutki ich pogwałcenia.

Dlatego uważam za błąd albo nawet gwałt także religijny, w zależności od metod i rodzaju środków, wszelkie przejawy zmierzające do przymusowego tworzenia — dla elementów narodowościowo różnych — pojęcia „wspólnej ojczyzny". Uważam za błąd czy gwałt także tworzenie pojęcia „polskiej ojczyzny" z różnych elementów i skrzyżowań Rzeczypospolitej. „Wytwarzać" ani narzucać ojczyzny nie można. I nikt tego nie dokonał, przynajmniej z ludami chrześcijańskimi. Może istnieć tylko pewna wspólnota ideałów, jakaś wspólnota lojalności wobec uświęconego władcy, czy ustroju; może istnieć wspólnota uspołecznionego realizowania zasad moralności i sprawiedliwości — pomiędzy grupami etniczymi i kulturalnymi jakiegoś pasa geograficznego, która pas ten utrwala, powiedzmy, humanistycznie.

Tak, czy inaczej, historia, wspólne choć ułamkowe ideały, jakby barwa wspólności pewnego rodzaju wiary zjednoczyła to, co było dawną Rzeczpospolitą. I to zjednoczenie wciąż żyje, lub, mówiąc dokładnie: odżywa w różnoraki sposób w najprzeróżniejszych odcieniach i splotach, a nawet — w antagonizmach. Mniemam, że niepodległościowcem w sensie katolickim może zwać się tylko ten, kto pragnie niepodległości tego **całego splotu i całego obszaru**, takiego, jakim go zastały wszelakiego rodzaju rozbiory, kto pragnie naprawienia **wszelkich** gwałtów tu dokonanych, nie tylko „państwowych" ale i narodowych. Natomiast ideał fabrykowania jakiejś przymusowej „ojczyzny" jak to się działo do 1939 roku, jest najdalszy zarówno od rzeczywistości jak moralności i sprawiedliwości. Uczciwe dążenie do niepodległości może polegać jedynie na dążeniu do wyzwolenia **wszystkich** grup narodowościowych tego historycznego obszaru; grup, które tymczasem, w większym niż dawniej stopniu, z większym moralnym usprawiedliwieniem, w imię pełniejszej sprawiedliwości doszły do głoszenia i wyznawania swej wiary w przyszłość.

Jest to także postulat rzeczywistości: jedynie pełna wolność na tym obszarze, pełna a nie w formie przez kogoś narzuconej, może zapewnić normalne współżycie z Rosją przyszłości. Tymczasem zaś wszelkie „etnograficzne" i nie wiedzieć jakie fabrykowanie „ojczyzn polskich" w imię takiej czy innej konieczności (rzekomej!) ewolucji socjologicznej, jest wodą na młyn **Rosji** przeszłej i sowieckiej. A każdy, kto za cały program ma tylko sztuczną zaporę wobec niej czy przeciw niej, w imię fałszywych tez i haseł gwałcenia drugich, przygotowuje siebie i swój kraj do roli jej ofiary.

Jan Tokarski

PO ŁEPKACH

»GDZIE JUŻ ŻADNEGO NIE MA INTERESU«

PRAWDA tym się różni od piękna, że nie da się przykrawać do smaków i gustów. Piękno jest wielorakie, prawda jest jedna. O pięknie można dyskutować, prawda jest bezsporna. Piękno jest dla odbiorcy rozkoszą, prawda przede wszystkim twardym nakazem. Piękna wolno człowiekowi nie zażywać, prawda obowiązuje. Piękno można ominąć, prawdy nie wolno.

Te proste uwagi odnoszą się do pewnych obyczajów w życiu polskiej emigracji. Gdyby ktoś czytywał tylko jedno emigracyjne pismo polskie, nigdy by się nie dowiedział, że istnieją oprócz niego inne. Chyba, że innemu pismu powinęła się noga w taki czy inny sposób: wówczas nie ma granicy szyderstwom, przytykom, a nawet wołaniom o policję. Gratki takie jednak zdarzają się rzadko, więc też długo trzeba czekać, aby „Poseł Prawdy" mógł pogrozić obuchem „Jutrzence Wolności". A już na skargi przed obcym trybunałem trzeba czekać latami.

W czasach przedpotopowych pisma drukowały na swych łamach „przeglądy prasy". Była to zwykle najpoczytniejsza rubryka każdego pisma. Za naszych dni, w słońcu zachodniej wolności, „przegląd czasopism", jeśli gdzieś jeszcze pokutuje, to po to, aby wyśmiać i wyszydzić kogo się da. Mogą sobie Polacy być katolikami, ale wolnomyślność i demokracja nie mogą zasadzać się na poszanowaniu dla wiary. Zatem „Wieści" czy „Rolnik Postępowy" karmią potulnych Polaków rewelacjami o „papieżach liberalizmu" (niby że każdy papież to taki prowodyr), o „duchu zakrystii", o „sztuczydłach katolickich", o „żargonie pseudo-filozoficznym pseudopisarzy pseudokatolickich" itd. Najkulturalniej bowiem jest w nic nie wierzyć, a jeśli kto wierzy ośmieszać. Jeśli kto zna się na matematyce, a ja nie, najlepszą metoda wyśmiać matematyka. Jeśli kto zna filozofię scholastyczną, a pismo emigracyjne nie, najwygodniej z góry orzec, że to same głupstwa. Wtedy człowiek czy pismo nie naraża się na zarzut ignorancji, przeciwnie przybiera pozę arbitra.

Wyzwiska jednak i przekpinki to jeszcze najłagodniejsza forma obyczajów kulturalno-prasowych na emigracji. Drugim stopniem jest porażenie nerwu wzrokowego. Niewidzenie. Ileż to razy zdarzyło się słyszeć w czasie rozmowy z luminarzami kulturalnymi emigracji takie zdanie: „Życie"? — a co to takiego „Życie"?" Niewiedza i zdziwienie w kulturze są najbardziej uroczymi formami towarzyskimi. Szczytem dobrego tonu jest pochwalić się że się nie czyta żadnego polskiego pisma. Wstyd natomiast nie znać dokładnie treści ostatniego „Everybody's", „Radio Times", czy nawet „Naturist".

Intelektualiści, artyści i pisarze nie mają pamięci do nazwisk. Chcąc na przykład zwrócić rozmowę na Wacława Grubińskiego, najlepiej jest użyć takiego określenia: „No, taki od Lenina, zdaje się na W", gdy mowa o Wańkowiczu: „taki gruby, co to o Monte Cassino, jakże jemu?", zaś o Wacławie Zbyszewskim: „ten co to ma brata od sportowych kawałków". Pamięć do nazwiska wraca rozmówcom natychmiast, jeśli trzeba do nich dodać bliższe określenie lub przydawkę w rodzaju: „ten groszorób Dworski", „ta hiena Malczyk" itd. Z reguły nazwisk się nie zapomina w zestawieniu z rzeczownikiem „świnia".

Książek na emigracji ukazuje się niezmiernie mało. Ale te, które jeszcze wychodzą, psują do reszty humor intelektualistom i politykom od kultury. Kwitują je więc wymownym milczeniem.

Jakże rozkosznie jest móc napisać w „Gońcu": „Wielkie dzieło Zofii Kossak niestety nie trafiło do gustów i sumień polskich wydawców." Ale niech się tylko „wielkie dzieło" pojawi, „Goniec" słowem nie bąknie, kto je wydał. Jeśli trzeba wylać trochę żółci z racji niedoceniania Wierzyńskiego, „Goniec" uderzył w wielki dzwon. Ale że „Gońcowi" pod nosem wydano wspaniały tom wierszy Wierzyńskiego, o tym „Goniec" ani piśnie. Oprócz rubryki „przegląd prasy" zniknęła z polskich czasopism również rubryka „książki nadesłane". Swoją drogą wydawcy skwapliwie nadsyłają egzemplarze recenzyjne książek w cenie do 5 szylingów. Droższych nie. (Kłaniam się przy sposobności uprzejmie wydawcom „Polskich Sił Zbrojnych", „Secret State", „Invitation to Moscow", Oficynie Poetów itp.).

Piękny przykład utraty wzroku dziennikarskiego mieliśmy niedawno z okazji sprawy całopalenia książek polskich w Bourne End. Zdolny dziennikarz znakomitego pisma darł szaty nad dolą polskiej książki na obczyźnie. Jakże ładnie! Ładnie, ale i politycznie. Wedle zasad: nie informować zbyt dokładnie. Raczej zataić, niż reklamować. Nie zalecamy firm nie ogłaszających się u nas. I tak zamiast troski jest chytrość, zamiast prawdy polityka.

Wspomniany artykuł wyliczał m. in. ilości książek polskich na składzie w poszczególnych księgarniach emigracyjnych. Było więc w artykule o SPK z jego 200 tysiącami książek, było o „Orbisie" z setką tysięcy, było o YMCE z 73 tysiącami, o „Gryfie" z 33 tysiącami. Nie było natomiast ani słowa o „Veritasie" z jego 155 tysiącami książek! Drobne przeoczenie, jak na ogólną sumę 500 tysięcy książek polskich w Wielkiej Brytanii.

Faktu, że Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" jest bodaj ostatnią i jedyną dziś stałą polską firmą wydawniczą poza Krajem (sporadycznie wydaje książki jeszcze kilka firm), nie dostrzega żadne, dosłownie żadne, polskie pismo na obczyźnie. O ogłoszeniu Katolickich Nagród Literackich w roku bieżącym nie dało wzmianki żadne, dosłownie żadne, polskie pismo na obczyźnie.

C. K. Norwid pisał sto lat temu:

Ta jest modlitwa ma — i ten interes.
Żeby raz ludzkość weszła do okresu,
Który jej z dawna należy logicznie,
Gdzie już żadnego nie ma interesu
I gdzie już nic się nie robi praktycznie.

KRAKUS

Z K R A J U

— **„Pierwszy w pracy** — pierwszy w sporcie" jest hasłem sportowej brygady produkcyjnej(?)z zakładów im. Stalina (dawniej H. Cegielski) w Poznaniu.

— **Teatry w Warszawie** grały ostatnio m.i.: „Jak wam się podoba" Szekspira (Teatr Narodowy, Plac Teatralny); „Pygmalion" Shawa, „Moralność pani Dulskiej" G. Zapolskiej (Teatr Nowy, Puławska 19); „Wieczór Trzech Króli" Szekspira (Teatr Współczesny, Mokotowska 13).

— **W kinie „Atlantic"** (Rutkowskiego 33, dawniej Chmielna?) wyświetlany jest film francuski „Valpone", który do niedawna szedł w Londynie w kinie Curzon.

— **W Zakopanem**, na Hali Kondratowej, odbyły się zawody narciarskie o „memoriał Mariana Zająca".

— **Na pl. Bankowym** w Warszawie stanie w dniu 22 lipca br. pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, słynnego kata, zaprojektowany przez Zbigniewa Dunajewskiego.

— **W Leningradzie** otwarto wystawę około 100 karykatur politycznych polskich rysowników.

— **Praca kompozytorów.** Jan Krenz napisał kantatę „Dwa miasta", do tekstu K. I. Gałczyńskiego, na dwa chóry i orkiestrę symfoniczną i dwie piosenki, na chór mieszany a capella, — „Smutną" i „Wesołą", do tekstów zaczerpniętych z „Chłopów" Reymonta. Utwory te są przeznaczone na Festiwal Muzyki Polskiej. Krenz opracowuje równocześnie starą muzykę polską: symfonię Wojciecha Dankowskiego (XVIII — XIX w.) i symfonię Milwida (XVIII w.). Faustyn Kulczyński ukończył „Małą Suitę Polską", kilka tańców ludowych i 4 „masowe pieśni chóralne", oraz planuje koncert na klarnet z towarzyszeniem orkiestry.

— **W maju ruszą prace**, przerwane na okres zimowy, w parku Paderewskiego, w Warszawie.

— **Państwowe Muzeum** Archeologiczne przygotowuje wystawę, która obrazuje rozwój człowieka na tle rozwoju innych organizmów.

— **W Nieborowie** odbył się Zjazd Młodych Pisarzy. Przemawiali m. in.: Jerzy Putrament, Paweł Hoffman i Wiktor Woroszylski.

— **W Warszawie** odbędzie się prapremiera sztuki Żeromskiego p. t. „Grzech".

— **Poznań buduje się.** Wieża ratusza jest już gotowa, a nad resztą pracuje wielu fachowców. Wzniesiono już mury katedry poznańskiej na Ostrowiu Tumskim. W bieżącym roku przystąpi się do odbudowy Biblioteki Raczyńskich, Zamku Przemysława i Pałacu Działyńskich. Przy Parku Marcinkowskiego ustawiono 10 piętrowy gmach „Dyrekcji Planowania". Przy zbiegu ulic Matejki i Grunwaldzkiej zbudowano nowy teatr nazywając go im. Feliksa Dzierżyńskiego.

— **W Warszawie** rozpocznie się wkrótce proces b. hitlerowskiego prezydenta Warszawy, Rudolfa Dengla.

— **S ą d.** Cytujemy dosłownie z „Dziennika Polskiego" (Kraków): „... prokurator zadaje oskarżonemu pytanie: — Kto walczył realnie z najazdem hitlerowskim w latach 1942 i 1943?

Oskarżony Bukowski odpowiada bez wahania:

— Armia Radziecka.

— Komu przyniosły korzyść ataki prasowe, skierowane przeciwko Armii Radzieckiej?

—Faszystom — brzmi odpowiedź.

— Komu wyrządzało szkodę to co przynosiło korzyść faszyzmowi?

— Narodowi polskiemu — przyznaje oskarżony."

„Oskarżony Bukowski jest działaczem sodalicji mariańskiej. Interesuje go wielce Tomasz z Akwinu i encyklika Leona XIII..."

—**Leon Haraschin-Wyrwicz**, znany humorzysta i aktor, zmarł w Krakowie.

— **Na szczycie** Wieży Mariackiej widnieje napis „Palenie papierosów i cygar policyjnie wzbronione". „Dziennik Polski" (Kraków) komentuje: słowo „policyjnie" powinno być zmienione, bo „strażnicy powinni sobie uświadomić, że żyją w Polsce Ludowej".

— **Opera Śląska** z Bytomia występuje w Krakowie co dwa tygodnie.

— **W Krakowie** zamierzano zorganizować dostawę mleka do domów, ale po krótkim okresie próbnym trudności okazały się za duże. Centrala nie dostarczyła mleka rozdzielni.

— **Na Wiśle** między Warszawą a Włocławkiem kursują statki pasażerskie.

— **„Nauczyciela tańców"** Lope de Vegi grano w Teatrze Polski Ludowej w Bydgoszczy, „Hamleta" w Poznaniu i „Jak się wam podoba" we Wrocławiu. Ale bydgoszczanie się nie spisali: „zrobili co mogli by krwisty tekst Vegi pozbawić jego społecznej wymowy".

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

W liście do Redakcji ŻYCIA (niedziela 15 kwietnia br) pt. „Wokół artykułów o psychologii", w punkcie (5) winno być zamiast „szkoła teologiczna" **„szkoła teleologiczna"** (czyli szkoła celowości, lub szkoła, oparta o terii instynktów).

Łączę wyrazy itd.

Bolesław A. Wysocki

Ludford, Lincoln.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Centre.** Adres redakcji i administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17;** z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe P R E N U M E R A T A płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh.** Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionymi na **Veritas Foundation Publication Centre.** CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1; w t e k ś c i e 50% drożej, na stronie t y t u ł o w e j 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo: „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: Zbigniew Wróbel, 43, rue d'Irlande, Bruxelles, St. Gilles — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs., Przedstawicielstwo „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają: „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2. i Księgarnia „Wiedza", Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P. K. S. U. Veritas. Section Suise, Case Postale 19, Fribourg 2 — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c, Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztąlotniczą 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 22, E. 33rd Street, Bayonne, N.J., USA.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734